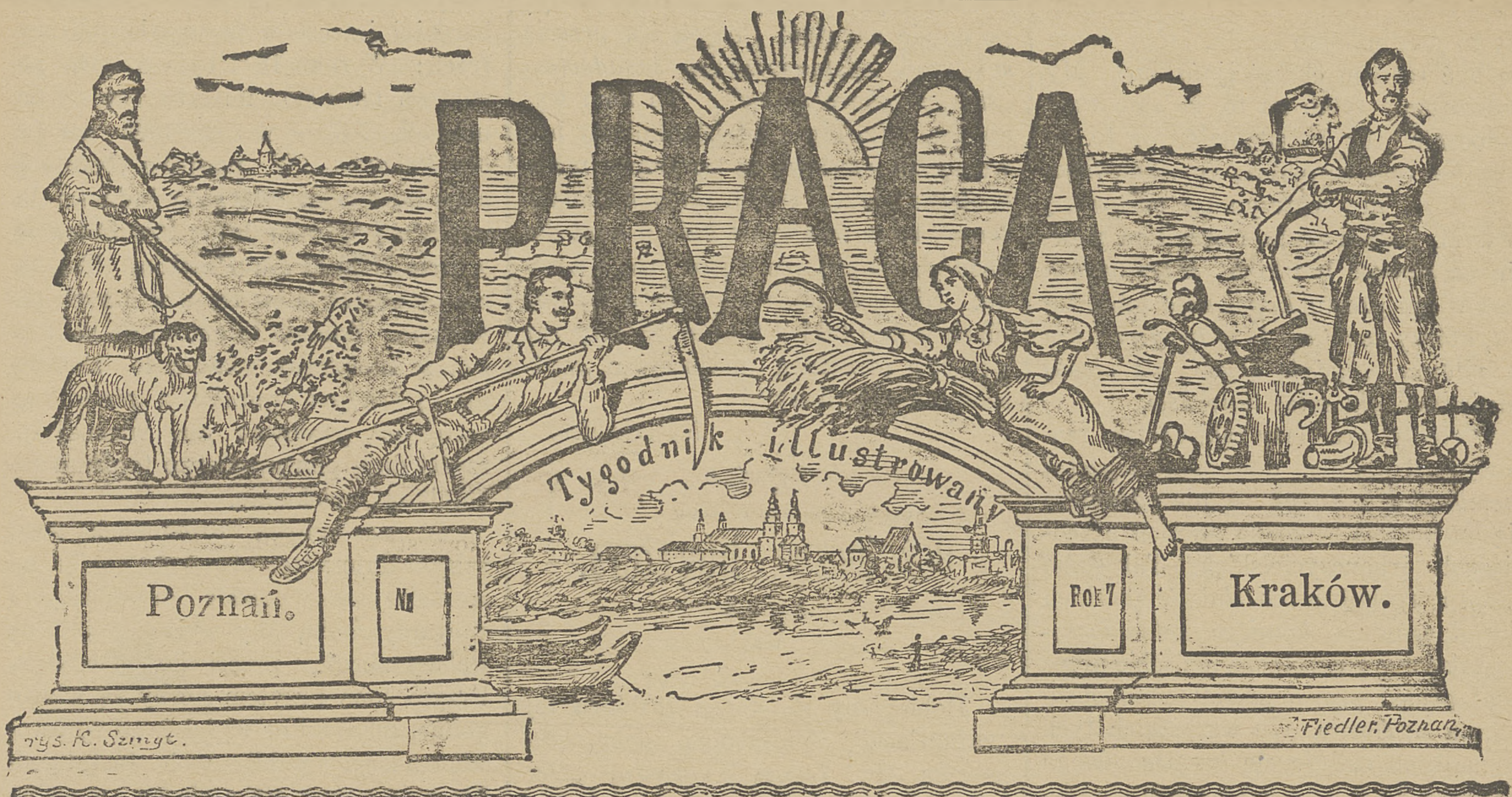
Nr 33. Poznań, dnia 16-go sierpnia 1903. Rok VII.



Wspaniała... wyższość kultury.

Zawsze jeszcze prawi nam hakata o wyższości kultury niemieckiej, chociaż wszelkie *fakta* zadają kłam tym twierdzeniom. Nie zaszkodzi więc, gdy i my powrócimy do tego przedmiotu i tę rzekomą „wyższość" kultury niemieckiej w właściwem przedstawimy świetle.

Że na polu literatury i sztuki stoimy *conajmniej* na równi z Niemcami, to jest już rzeczą tak ogólnie znaną i wiadomą, iż na odnośne *dowody* nie potrzeba słów tracić. Przez pewien czas zdawało się, że przewyższają nas oni w dziedzinie ekonomii, a więc gospodarstwa, handlu i przemysłu, a może nawet i tak było naprawdę. Lecz jeżli było, to już minęło. Dziś sami przyznają, że nasi rolnicy gospodarują wzorowo, co najmniej nie gorzej od rólników niemieckich; robotnik nasz jest poszukiwany w całych Niemczech i wszędzie chętnie widziany, co dowodzi, że i na punkcie pracy ręcznej lud nasz dorównuje niemieckiemu; statystycy hakaty sami obliczają, że nasi czasowi wychodźcy do Niemiec przywożą rok rocznie do Księstwa 8 milionów marek, z czego wynika, że i pod względem *oszczędności* nie potrzebujemy się uważać za niżej stojących wobec Niemców. Nasz handel i przemysł również rozwija się bardzo pomyślnie i to w warunkach tak trudnych, w jakich Niemcy nawet utrzymać by się nie zdołali. Mnożące się w Niemczech z ogromną szybkością olbrzymie *defraudacye, oszustwa, kradzieże* wykazują wymownie, że i pod względem *moralności* w handlu i przemyśle Niemcy nie mają najmniejszego prawa uważać się za wyższych od nas. Cóż więc jeszcze pozostaje? *Rządy państwowe?* Co do tych, to porównanie jest na razie niemożliwe, my bowiem nie mamy własnego państwa, na którem moglibyśmy dać dowód, że się sami również dobrze rządzić umiemy. Lecz właśnie chyba *system rządów niemieckich w naszych polskich dzielnicach jest tego rodzaju, że się Niemcy bynajmniej nim chlubić nie powinni.*

Wyższość kultury objawia się zawsze prawie tem, że przyciąga ku sobie żywioły w kulturze *niżej* stojące i to nie gwałtem, przemocą, lecz wyłącznie *siłą swej wyższości.* Gdyby więc Niemcy naprawdę przewyższali nas tak bardzo pod względem kultury, *szerokie koła ludności polskiej same lgnęły by do niemczyzny* i zbytecznemi byłyby wszelkie środki i sposoby, dążące do tego celu niejako drogą *gwałtu, podstępu i korupcyi.* Tymczasem wszelkie rzekome zdobycze niemczyzny u nas dokonują się wyłącznie temi środkami i sposobami.

Niemcy sami dostarczyli nam świeżo nowego na to dowodu. Coraz częściej, jak wiadomo, zachodzą u nas wypadki, że ten lub ów nauczyciel lub niższy urzędnik *porzuca swe polskie nazwisko* i *przybiera niemieckie.* Ostatnie tygodnie obfitowały w takie „zmiany." Przypuszczaliśmy już od dawna, że jednostki te nie czynią tego z *własnej* inicyatywy lub *dobrej woli,* lecz *pod wpływem pewnego nacisku* lub pewnej *pokusy, wychodzącej od rządu.* I nie omyliliśmy się pod tym względem. Jak się dowiaduje *„Dziennik Poznański,"* jest to następstwo okólnika, wydanego przez rząd, a przyrzekającego tym, którzy wyprą się polskiego nazwiska i polskiej narodowości, szczególną opiekę i protekcyą, a zapewne przedewszystkiem znane *„ostmarkzulagi."* Dalej donoszą „Dziennikowi," że inspektorom szkólnym *polecono wpływać w tym kierunku zwłaszcza na słabe charaktery wśród polskich nauczycieli.*

Ten okólnik — to chyba najwymowniejsze zaprzeczenie twierdzeń o rzekomej niemieckiej wyższości kultury. Rząd przyznaje nim sam, że jeżli wogóle cośkolwiek zdziałać chce dla Niemczyzny, musi skierować swe usiłowania jedynie ku *słabszym* wśród nas charakterom, a dalej, że sam jest przekonany, iż stosowanemi w tym kierunku środkami u *silniejszych* charakterów polskich *nic by nie osięgnął.*

Pomijamy już milczeniem kwestyą, czy i o ile takie wywieranie nacisku na zależne od rządu jednostki polskie da się pogodzić z pojęciem *moralności,* bo by rozstrząsanie tej kwestyi mogło zaprowadzić nas za daleko — a naszego odpowiedzialnego redaktora nawet przed kratki sądowe.

Skonstatujemy tylko, że nacisk ten wymaga od nauczycieli i niższych urzędników tego, co dla każdego człowieka nie pozbawionego szlachetniejszych uczuć, jest najbardziej *bolesnem i przykrem,* bo *wyparcia się przodków, rodziny, narodu.* Resztę niech

szanowni Czytelnicy nasi sami sobie dośpiewają, niech sami rozstrzygną, czy to jest godnem rządu, który mieni się być rządem chrześcijańskim? My wskazujemy tylko na to, że sam rząd widocznie ma świadomość, iż to, co czyni w tym wypadku, ze stanowiska ...go, nie wytrzymuje surowszej krytyki, jeźli spekuluje przy tem głównie na *słabość* ludzkich charakterów. Jest to po prostu *kupowanie* sobie ludzi, którzy *zysk czy to w karyerze, czy w gotówce stawiają wyżej, niż ideały najdroższe dla całej ludzkości.*

Pytamy teraz, czy taki system rządowy jest równie dowodem *wyższej niemieckiej kultury?* A nie ogranicza się on przecie tylko na sferach urzędniczych i nauczycielskich. Tak samo bowiem spekuluje na *słabość* polskich charakterów — *komisya kolonizacyjna,* tak samo zastrzeżone ma sobie przez rząd pruski *prawo „veto" przy obsadzaniu probostw.* We wszystkich tych wypadkach usiłuje się *krzywą* drogą osięgnąć to, co prostą osięgnąć się nieda, germanizacyą polskiej *ziemi;* polskich *kościołów,* polskiego *społeczeństwa.*

Jakże to oburzała się świeżo prasa niemiecka i szydziła z rządu *węgierskiego,* że usiluje opozycyą w sejmie — odwieść od obstrukcyi — *przekupstwem.* Czemże atoli różni się wywieranie takiego nacisku na nauczycieli i urzędników od tego „systemu" rządu węgierskiego? Naszem zdaniem system pruski jest jeszcze gorszy. Rząd węgierski względnie niezręczni jego przyjaciele usiłowali pozyskać w ten sposób bądź co bądź ludzi *wolnych, niezależnych;* system pruski zwraca się do ludzi, których losy pozostają wprost w ręku rządu pruskiego, którym więc trudniej jest oprzeć się *pokusom* i naleganiom. Czyż prasa niemiecka nie widzi tego, czy też nie chce widzieć?

Piękna to *wyższość kultury,* która zdobywać sobie musi zwolenników wśród ludności polskiej tylko spekulacyą na *słabość* charakterów. Z ogromną goryczą skarżą się zawsze jeszcze Niemcy, że tylu ich rodaków uległo polonizacyi, *spolszczeniu.* A no, myśmy na nich nie wpływali — takim systemem, myśmy nie spekulowali na słabość charakterów; ci zresztą, którzy się spolszczyli, odznaczali się właśnie charakerem *silnym,* a jeźli porzucili niemieckie ideały a przyjęli polskie, to czynili to *nie dla zysku, nie pod naciskiem,* lecz jedynie dla tego, że nasze ideały uważać musieli *za piękniejsze, wznioślejsze.* Z tego zaś wynika, że chyba *nasza kultura musi być wyższą, jeźli takie odnosi sukcesy.*

Owych panów, z *„słabymi charakterami,"* którzy dotychczas ulegając parciu władz pruskich zmienili swe nazwiska, my tu potępiać nie będziemy; po co się narażać? *Potępił ich przecie sam rząd, wystawiając im świadectwo „słabych charakterów".* To nam wystarcza. Właściwie też powinniśmy być wdzięczni rządowi, że oczyszcza nasze społeczeństwo, z takich *słabych charakterów,* bo te są zwykle *kulą u nogi dla każdego walczącego o swe prawa narodu.* Nie gniewamy się więc o to, lecz niech wobec takich faktów Niemcy raz wreszcie przestaną majaczyć o „wyższości swej kultury" !

Narodowiec.

Pożyteczna literatura.

VI.

Dobiegamy do końca rozbioru tej „zajmującej" publikacyi, jaką jest książka dr. *Leona Wegenera, „Der wirtschaftliche Kampf der Deutschen mit den Polen um die Provinz Posen."* Szczupłe łamy „Pracy" oraz nawał innego ważnego materyału nie pozwalają nam przytoczyć innych rubryk statystycznych z tego dzieła w *szerszych* rozmiarach. Powrócimy do nich zresztą jeszcze, gdy się sposobność nadarzy. Dziś tylko zacytujemy kilka cyfr, potrzebnych do zrozumienia końcowych uwag autora.

Wykazuje on, jak już zaznaczyliśmy, liczbami, że ludność niemiecka Księstwa, mimo sztucznego jej importu przez kolonizacyą i nasyłania urzędników niemieckich, topnieje z każdym rokiem głównie przez wychodźtwo. Włościanin niemiecki, pozostawiony samemu sobie, nie może w dzisiejszych warunkach rolnictwa wyżyć z wielkopolskiej gleby; uchodzi więc do ściślejszej swej ojczyzny. Tak samo, a nawet szybciej jeszcze zmniejsza się ludność niemiecka *po dominiach.* Jakkolwiek niemieckich właścicieli ziemskich w Księstwie coraz więcej, to robotników dominialnych niemieckich *coraz mniej.* Tych wypiera konkurencya skromniejszego w swych wymaganiach robotnika Polaka. Dzieje się to mianowicie w powiatach z gorszą ziemią. Oto kilka przykładów na to: W powiatach *wieluńskim i czarnkowskim* było na 100 hektarów obszaru *dominialnego* w roku 1871: 20,5 Niemców, w roku 1895 zaś już tylko 16,1; Polaków zaś w roku 1871 23,3, w roku 1895: 23,7; chociaż więc ludność dominialna w tych powiatach wogóle znacznie się zmniejszyła w tych 25 latach, bo na 100 hektarów z 42,2 na 37,2 dusz, to ubytek ten przypada wyłącznie na Niemców, podczas gdy polscy robotnicy wykazują przyrost. Uderza to bardziej jeszcze w następujących cyfrach: W roku 1871 było w tych powiatach na 1000 mieszkańców w dominiach: 507 — w roku 1895 zaś już *574 Polaków.* W powiecie *babimojskim* liczono na 1000 głów ludności dominialnej w roku 1871: *775 Polaków,* w roku 1895 aż *850 Polaków.* Tak samo przedstawia się rzecz w innych powiatach. Zmusza to autora do konkluzyi, że niemieccy właściciele ziemscy *nie są dobrym czynnikiem germanizacyjnym,* ponieważ dla własnej korzyści dają pierwszeństwo taniemu robotnikowi polskiemu.

W następnych rozdziałach swej książki daje autor obszernie pogląd na rozmaite nasze polskie organizacye i stowarzyszenia, aby wykazać, jak się Polacy zbroją przeciwko Niemcom. Przytoczone przytem liczby są wiarogodne, gdyż autor wyjął je ze sprawozdań naszych publicznych instytucyi. Zręcznie potem stara się on przeciwstawić tej naszej pracy zupełną niemal bezczynność Niemców na polu samopomocy. *Tu zaś przestaje być „bezstronnym."* Ubolewając bowiem, że np. obok komisyi kolonizacyjnej nie istnieje w Księstwie *„żadna prywatna spółka parcelacyjna niemiecka,"* „zapomina" o *„Landbanku"* i o całym zastępie *prywatnych niemieckich parcelantów.* Z wzmianki jego o bractwie HKT, dowiadujemy się, że rozdzieliło ono do roku 1902 tytułem stypendyi i zapomóg ze składek i darów prywatnych 220,000 mk. między potrzebujących takiej pomocy Niemców. Ta liczba usuwa się z pod naszej kontroli. Pocóż atoli Niemcy prywatnie jeszcze łożyć mają na wzmacnianie swych pozycyi, gdy rząd z państwowych funduszów, do których i nasze krwawe płyną podatki, zapycha Niemcom w Księstwie kieszenie krociami tysięcy marek rocznie?

Posłuchajmy teraz, co autor pisze w końcu swych rozpatrywań na ten temat:

„Dopóki Niemcy mniemali, że na wschodzie ekonomicznie lepiej im powodzić się będzie, niż w ich „starej" ojczyźnie, *dopóty trwała ich wędrówka ku wschodowi.* Gdyby w *Gnieźnie* nie powstało było już *tak wcześnie* samodzielne polskie *arcybiskupstwo,* pierwsi imigranci niemieccy nie byliby utonęli w żywiole polskim i Poznańskie byłoby dziś tak samo zgermanizowane, jak np. *Pomerania.* Tak zaś rozpoczęła się germanizacya tej dzielnicy dopiero pod *panowaniem pruskiem.* Rozpoczęła się zaś właściwie *bez przyczynienia się rządu pruskiego,* jedynie

le roku 1867 wabiły Niemców do Poznańskiego siłą interesów ekonomicznych, które aż do tej pory nie ustały. Skoro atoli wielka własność ziemska i stan rzemieślniczy przestały być ekonomicznie najsilniejszemi czynnikami w państwie, gdy od roku 1870 inne zawody zaczęły nastręczać lepsze zyski, napływ Niemców do prowincyi poznańskiej nietylko ustał zupełnie, ale zamienił się *nawet w odpływ*. Ponieważ w Poznaniu z powodu ceł rosyjskich i niemieckich ochronnych, które umożliwiały przemysłowi niemieckiemu na *Zachodzie* zasypywać Poznańskie swemi wyrobami, nie mógł się rozwinąć miejscowy przemysł, zniewoleni byli ci, którzy pragnęli pracować w przemyśle, opuścić Księstwo. Ponieważ dalej Niemcy, czy to pod względem ekonomicznej *kultury*, czy też pod względem *majątkowym i wymagań życiowych* przewyższali (?) Polaków, oni pierwsi zwracać się zaczęli tam, gdzie spodziewali się *większych zarobków*, pozostawiając mniej wydajne *miejscowe* Polakom.

Wiadomo zaś, że przy takich „masowych gminoruchach" mieszczanie nigdy nie przenoszą się na wieś, lecz przeciwnie, mieszkańcy wsi do miast. W ten więc sposób decyduje o narodowości prowincyi poznańskiej *jedynie wieś — a nie miasto*. Ztąd poszło też, że np. w latach od 1871 — 1895 liczba Niemców po *dominiach* zmniejszyła się o 10₀/⁰, *liczba Polaków zaś wzrosła o* 14,5⁰/₀, w gminach wiejskich Niemcom ubyło 3 procent ,*Polakom przybyło 14 procent*, w miastach zaś ludność niemiecka i żydowska obniżyła się o 1,1 proc., ludność *katolicka zaś* (a więc przeważnie *polska*) *wzrosła o 30 procent*.

Na innem miejscu autor taką stawia prognozę: „Polacy w samopomocy tak już *uprzedzili Niemców*, że mogą już nawet *politycznie neutralny* (?) *stan robotniczy* ekonomicznie przeciągać na swoją stronę. Dopiero więc, gdy i Niemcy nauczą się samopomocy, własnej odpowiedzialności i własnej administracyi, wówczas dopiero się rozstrzygnie, ku której stronie zwrócą się ci z stanu robotniczego, którzy dążą do polepszenia swego bytu. *Przyłączą się oni do tej narodowości, która dawać im będzie możność szybszego postępu i dorobku*. Dotychczas tylko Polacy dawali tym żywiołom doskonałe organizacye samopocy i tem się tylko tłomaczy, że nietylko zdołali wpoić polskie przekonania w niższą *polską ludność, ale także, że zagarnęli nadto i zagarniają wciąż jeszcze dużo* (?) *Niemców w swoje szeregi*."

I w tych zdaniach streszcza autor cel i zadanie swej książki. Ma ona uprzytomnić Niemcom, dlaczego nie mogą w *walce ekonomicznej podołać Polakom*. Mają oto zorganizować się tak, iżby robotnicza ludność polska nabrała przekonania, że lepiej dla niej będzie, *jeżeli porzuci swą narodowość i całą duszą do Niemców przystanie*.

Konkluzya ta tak samo *mylna* i błędna, jak wszystkie inne, dążące do sztucznej germanizacyi. Sama tylko korzyść *ekonomiczna* nigdy nie decyduje o aspiracyach narodowych ludności nawet narodowo *nieuświadomionej*, a cóż dopiero tak uświadomionej jak nasza polska! Pokazało się to przecież na *Slązku* najwymowniej. Tam ludność polska robotnicza była i jest ekonomicznie zależną od Niemców, a mimo to nietylko się nie zniemczyła, lecz przeciwnie, *cudownie niemal odżyła pod względem polsko-narodowym*.

Pan dr. Wegener nie doczeka się też innego obrotu sprawy w Księstwie. Pod tym względem możemy być spokojni. Książka jego uczy nas jednakże, *że i na polu ekonomicznem powinniśmy stale kroczyć naprzód, a nie ustawać*, jeżli Niemcy nie mają nas wyprzedzić i cięższej jeszcze wyrządzić nam szkody. I ze względu na to zaliczyliśmy tę książkę również do — pożytecznej dla nas *literatury hakatystycznej*.

Czujny.



Strajki w Rosyi.

Według doniesień „Timesa," położenie w Rosji jest dalej groźne; codziennie płoną fabryki i zbiorniki nafty, mimo urzędowych zapewnień, że „porządek przywrócony." Pracodawcy w Baku odmówili przyjęcia na przyszłość do pracy wszystkich robotników, którzy do 27 z. m. nie przyjęli pracy. Na kolei Tyflis-Baku ruch pociągów natrafia na przeszkody, a skutkiem tego miasta i wsie, leżące na tej linji, cierpią głód. W Tyflisie przez trzy dni nie można było dostać mięsa. Zdarzają się nawet katastrofy kolejowe, wywołane przez strajkujących. Przed kilku dniami uszkodzili oni na stacji Akstafa tor kolejowy, tak, że pociąg towarowy wykoleił się, dwadzieścia wozów uległo zdruzgotaniu, dwie osoby zginęły, trzy odniosły rany. Z Odessy donoszą dalej do „Timesa" 30 z. m.: Ruch strajkowy rozszerza się coraz bardziej. W Elzawetgradzie, Batum, Jekatierynosławiu, Nikołajewie i innych miejscowościach zaprzestali robotnicy pracy. W Odessie samej złożyło dziś narzędzia 25000 robotników w 14 fabrykach i kilkunastu zakładach transportowych. Handle przeważnie pozamykane. Robotnicy płci obojga zbierają się na placach. W żądaniach robotników na pierwszem miejscu znajduje się skrócenie czasu pracy i podniesienie płacy, nie wydalanie bez powodu i zmiana panującego systemu kar pieniężnych. Robotnicy kolejowi żalą się, że przedsiębiorcy ściągają im pewien procent z płacy. Na zdecydowaną postawę robotników wpłynęła także ostatnia ustawa o „starostach", wybieranych do zastępstwa interesów robotniczych. Stan robotniczy uczuł swą siłę i nie myśli o ustępstwach.

W dziennikach rosyjskich pojawiają się od czasu do czasu lakoniczne wzmianki o zaburzeniach. Urzędowe „Wiedom. odes. gradonacz." ogłaszają skazanie w drodze administracyjnej za udział w zaburzeniach ulicznych 30 i 31 z. m. i 1 b. m.: 96 osób stanu włościańskiego, 77 mieszczańskiego, 3 szlacheckiego, 2 kolonistów z gubernji podolskiej, 3 poddanych austrjackich i 7 kozaków z gubernji połtawskiej. W d. 31 z. m. i 1 b. m. gazety „Odes. listok" i „Odes. nov." nie wyszły wcale. Numery za oba te dni ukazały się razem dopiero w d. 2. b. m. Urzędowa gazeta „Wied. odes gradonacz." nie przestała wychodzić.

Do „Gaz. Narod." donoszą 5 b. m. z Kijowa: W poniedziałek 3 b. m. oznajmił świst Kijowowi, że w warsztatach kolei południowo-zachodnich dzieje się coś niezwykłego. Wkrótce rozeszła się po mieście wieść, że robotnicy kolejowi poszli za przykładem swych odeskich współbraci i urządzili strajk. W warsztatach pracowało około czterech tysięcy ludzi i wszyscy oni wylegli na tor kolejowy z mocnem postanowieniem zatamowania ruchu. Drożnikom wydzierano z rąk trąbki sygnałowe, maszynistów i palaczów ściągano z lokomotyw. W godzinach porannych odchodzi z Kijowa względnie mało pociągów, więc robotnicy opóźnili właściwie wyjście tylko jednego, idącego do Moskwy. Strajk rozpoczął się o godzinie dziesiątej, a około pierwszej na dworzec przybyło wojsko; parę pułków piechoty sprowadzono do miasta z obozu i wysłano na dworzec. Wojsko przybyło w samą porę, gdyż strajkujący zabierali się właśnie do zepsucia zwrotnicy w składzie lokomotyw. Gdyby się im to było udało, niepodobna byłoby wyprowadzić na szyny kolejowe ani jednej lokomotywy, co równałoby się zatamowaniu ruchu. Na widok siły zbrojnej robotnicy opuścili tor kolejowy i udali się do swoich warsztatów, gdzie rozłożyli się na podwórzach, wojsko zaś obsadziło wszystkie wyj-

ścia z warsztatów i zaczęło strzedz torów kolejowych na przestrzeni paru wiorst. Zresztą i robotnicy i wojsko zachowywali się nadzwyczaj spokojnie; ze strony robotników nie było żadnych demonstracyj i żadnych krzyków, nawet spojrzeń wyzywających, żołnierze robili swoje automatyczne, spokojne ruchy jak na mustrze lub paradzie. O godzinie drugiej do warsztatów przybył gubernator, główny naczelnik kolejowy, inspektor fabryczny i inne władze i rozpoczęli pertraktacje z robotnikami. Ci oświadczyli swoje życzenia, z których najważniejsze są: ośm godzin pracy, powiększenie płacy o 50 prc., zniesienie niektórych kar za spóźnienie się do pracy i nieobecność w warsztatach, wynagrodzenie uczni i płacenie im nie mniej, niż po 3 kop. za godzinę pracy itd. Mowę naczelnika kolei, wzywającego do uspokojenia się i wrócenia do pracy przyjęto świstaniem. Żadne perswazje nie pomogły, poczem władze opuściły warsztaty. Robotnicy pozostali na swoich stanowiskach aż do wieczora, poczem spokojnie rozeszli się, przeciw czemu nikt nie oponował. Wojska nie opuszczały dworca przez całą noc. O godzinie pierwszej tegoż dnia zahuczały także świstawki parowe na fabryce południowo-rosyjskiego towarzystwa budowy maszyn. Robotnicy, którzy pracowali byli od rana, po obiedzie porzucili warsztaty i wylegli na podwórze. Do strejkujących wyszła administracya fabryki i władze policyjne, perswadując i prosząc o powrócenie do zajęć. Robotnicy przedstawili swoje żądania, złożone z 25 punktów. Na pierwszem miejscu stało tam żądanie zredukowania godzin pracy do ośmiu. Między innemi robotnicy żądają, aby zwierzchnicy rozmaitych oddziałów fabryki nie mieli prawa oddalania robotników inaczej, jak za zgodą i sankcyą starostów, wybieranych przez samych robotników, aby w giserni za nieudane odlewy nie potrącano robotnikom z wynagrodzenia itd. Na fabrykę przysłano sotnię kozaków, która zresztą zachowywała się najzupełniej biernie i nie mieszała do pertraktacyi pomiędzy robotnikami a administracyą. Pod wieczór zawiesiło roboty jeszcze kilka fabryk maszyn, a następnego dnia rano jedna z większych, Graetera i Skrzywaneka, a także drukarnie Czokołowa, Kulzenki i inne. Liczba strejkujących dobiega już 8000.

K. L.



Z TYGODNIA.

Już w sobotę panował w *Rzymie olbrzymi ruch dokoła kościoła św. Piotra.* Na niedzielną koronacyę mnóstwo osób nabywało karty wstępu, otrzymując równocześnie ulotne pismo, zawierające życzenie papieża, aby podczas uroczystości wstrzymano się od głośnych objawów radości, a zachowano się spokojnie i z należytem nabożeństwem. W niedzielę od godziny 5 rano szpaler wojska tworzył kordon na placu św. Piotra i starał się o utrzymanie porządku wśród gęsto napływającej publiczności.

Wewnątrz bazyliki sprawowali służbę gwardziści papiescy. O godzinie wpół do 9 rano udał się papież pieszo, otoczony kardynałami i dostojnikami swego dworu, do portyku świątyni, gdzie przed porta sancta ustawiony był tron, na którym zasiadł, odziany wszystkiemi odznakami swej władzy. Kardynał Rampolla przemówił w kilku słowach, sławiąc przymioty nowo obranego namiestnika Chrystusowego, poczem chór orkiestry sykstyńskiej zaśpiewał: „Tu es Petrus“. Następnie zasiadł Ojciec św. w sedia gestatoria i poprzedzony przez dostojny orszak, niesiony był środkiem bazyliki do głównego ołtarza. Odgłos fanfar mięszał się z okrzykami zebranego ludu, gwardya prezentowała broń, zapał niezwykły ogarnął zebranych i zdawało się, że od rozgłosu radości i uwielbienia wstrząsają się mury starożytnego gmachu. Na znak papieża ucichło wszystko i teraz udzielił Pius X po raz pierwszy błogosławieństwa ludowi.

Przed głównym ołtarzem wysiadł Ojciec św. na chwilę i odmawiał wraz z kardynałami różaniec. Wsiadł następnie ponownie do lektyki i zaniesiony został do kaplicy klementyńskiej, gdzie przyjmował na tronie hołdy kardynałów, patryarchów i arcybiskupów, jak i całego duchowieństwa, poczem po raz drugi błogosławił zebranym. Teraz ubrano go w szaty pontyfikalne, a równocześnie i obecne duchowieństwo poczęło sposobić się do uroczystej mszy św. Na drodze z kaplicy do wielkiego ołtarza mistrz ceremonii trzykrotnie palił przed nim konopie, wołając: „Ojcze św., tak znika chwała tego świata!“ Po odśpiewaniu „Ecce sacerdos magnus“ rozpoczął się ceremoniał mszy św. Z obu stron tronu były trybuny dla krewnych Ojca św., rycerzy maltańskich, dyplomatów i szlachty włoskiej. Przed trybunami znajdowały się fotele dla wysokiego duchowieństwa. Po złożeniu przysięgi wierności przez św. kolegium i ucałowaniu nóg, rąk i oblicza Ojca św. przez duchowieństwo odnośnie do stopni w hierarchii kościelnej, rozpoczęła się msza św.

Zaraz po ewangielii kardynał-dyakon Macchi odczytał wyznaczone osobno dla koronacyi litanie. Podczas podniesienia brzmiały ponownie srebrne trąby kapeli sykstyńskiej, gwardya pochyliła broń, a lud w liczbie pięćdziesiąt tysięcy korzył się na klęczkach w skupieniu i ciszy. — Po skończonem nabożeństwie zaniesiono Ojca św. na tron, ustawiony przed głównym ołtarzem. Tutaj odmawiał za papieża najstarszy kardynał przepisane ceremoniałem modlitwy. Po zdjęciu mitry włożono Ojcu św. tiarę na głowę, podczas gdy kardynał Macchi odczytał tenor intronizacyi. Po udzieleniu po raz trzeci błogosławieństwa Pius X opuścił kościół św. Piotra i po godzinie 1 w południe przybył do swoich pokoi.

Już po godzinie 7 rano bazylika tak była przepełniona, że zakazano wpuszczać więcej osób. Tymczasem tysiące jeszcze stały u wejścia i tłoczyły się do bram, skoro zmęczeni długiemi ceremoniami i gorącem uczestnicy opuszczali kościół. Ojciec św. z początku bardzo był wzruszony, wkrótce wszakże opanował swe uczucia i pozostał czas cały spokojnym. W końcu jednakże pod wpływem długiej uroczystości i skwaru okazywał pewne zmęczenie, nie przyjął jednak żadnych środków orzeźwiających. Gdy zaintonował „Gloria in excelsis“ brzmiał głos jego tak dźwięcznie i silnie, że zebrani nie mogli powstrzymać się od objawów radości. Iluminacya Rzymu, szczególnie Watykanu i okolicznych kościołów była wspaniała. Podczas koncertów palono ognie sztuczne. Pierwsze konsystoryum ma odbyć się dopiero 20 b. m. Podczas niego nastąpi nominacya sekretarza przy Watykanie, którym zostanie Serafino Vannutelli.

Wybór Piusa X, którego w pierwszej chwili cały świat cywilizowany powitał jako *„papieża pokoju,“* jednak dał powód do rozdźwięków *politycznych.* Już nazajutrz po wyborze pojawiła się pogłoska, że zawdzięcza on swe wyniesienie na stolicę św. głównie *protestowi,* jaki przeciwko ewentualnemu wyborowi kardynała *Rampolli* podniosła podobno *Austrya. Gdyby nie ten* protest, nie on lecz Rampolla stałby dziś na czele Kościoła. Pogłosce tej w pierwszej chwili nie dawano wiary; gdy atoli zaczęły ją powtarzać w formie już zupełnie stanowczej także niemieckie, włoskie i francuzkie pisma półurzędowe, zaczęto ją traktować poważniej. Rzecz się podobno tak miała. Gdy w trzecim dniu „conclave“ kardynał Rampolla otrzymał już 39 głosów i gdy zdawało się być rzeczą pewną, że pozyska potrzebne 2/3 głosów, powstał

według jednej wersyi kardynał *Gruscha* z Wiednia, według innej kardynał krakowski *Puzyna* i uroczyście oświadczył w imieniu cesarza *Franciszka Józefa, że Austrya sobie wyboru kardynała Rampolli na Papieża nie życzy.* Prawo do takiego wpływania na wybór papieży rościły sobie już od wieków cztery główne państwa katolickie, dzisiejsza *Austrya, Hiszpania, Francya i Portugalia,* chociaż Kościół nigdy prawa tego nie uznawał. To też i w tym wypadku nietylko kardynał Rampolla lecz także inni kardynałowie stanowczo zaprotestowali przeciwko temu wmieszaniu się Austryi do wyboru, Rampolla oświadczył atoli równocześnie, że nie chcąc narażać Kościoła na przykrości zrzeka się ewentualnego wyboru. I wówczas dopiero głosy większości kardynałów zwróciły się na patryarchę Wenecyi, obecnego Piusa X.

Tak przedstawiają przebieg wyboru wspomniane pisma. Coś prawdy w tem doniesieniu być musi, ponieważ ani urzędowe organa rządu austryackiego, ani organa watykańskie dotychczas w stanowczej formie mu nie zaprzeczyły. Zachodzi teraz pytanie, co mogło skłonić Austryą do tego niezwykłego kroku? I na to tak odpowiadają pisma *francuzkie:* Kardynał *Rampolla* uchodzi w *Niemczech* za wielkiego przyjaciela *Francyi i Rosyi,* a za nieprzyjaciela *Niemiec.* Rząd niemiecki poruszał więc wszelkie sprężyny, aby wyborowi Rampolli przeszkodzić, a ponieważ nie mógł mieć nadziei, że jego protest jako rządu *protestanckiego* poskutkuje, zwrócił się do Austryi z żądaniem, ażeby ona zapobiegła takiemu wynikowi conclave w interesie *trójprzymierza. I Austrya usłuchała* — potulna jak zwykle wobec Niemiec. Skutek tego taki, że dziś prasa *francuzka* bardzo nieżyczliwe stanowisko zajęła wobec nowego Papieża, i że masoński rząd francuzki dostał do rąk nową broń przeciwko Kościołowi, a dalej, że prasa bezwyznaniowa szydzi dziś z wyboru papieża, twierdząc, że nie jest on przecie dziełem Ducha św., lecz dziełem wpływów świeckich. Takie rozumowanie nie ma naturalnie najmniejszego sensu. Opatrzność kroczy nieraz dziwnemi drogami, łatwo więc być może, że i ten protest Austryi był tylko Jej narzędziem.

Tak my pojmujemy tę sprawę. A chociaż już ze względu na to, że kardynał Rampolla nie jest zbyt wielkim przyjacielem Niemiec, jego wybór byłby nam *miły,* mamy niemniejsze zaufanie do Piusa X., że i on nas w ciężkiej niedoli nie opuści, ani nie wyda na łup zachłanności niemieckiej.

Po za tem i dziś jeszcze nikt nie wie, jakie stanowisko zajmie *Pius X.* wobec poszczególnych mocarstw. Zagadkę tę wyjaśni nam może częściowo Jego *alokucya,* jaką wygłosi w czwartek na pierwszym swoim konsystorzu publicznym. Wiadomo tylko, że względem *Włoch* stać będzie na stanowisku Leona XIII. Podobnie, jak ten wielki jego poprzednik, nie udzielił po wyborze błogosławieństwa *urbi et orbi* z zewnętrznej, na miasto wychodzącej lodżyi Kościoła św. Piotra, lecz z wewnętrznej, wychodzącej na Kościół, i tak samo jak Leon XIII. *nie doniósł* urzędownie rządowi *włoskiemu* o swoim wyborze. Rząd odpowiedział już też na to, zabraniając urzędnikom swoim wszelkiego udziału w uroczystościach na cześć nowego Papieża. Było to do przewidzenia, nikogo też nie dziwi.

Że *Austrya* tak łatwo uległa w tym wypadku naleganiom ze strony Niemiec, to tłomaczy się to zapewne jej wewnętrznym rozstrojem, który czyni ją słabą wobec zagranicy. Owa sprawa przekupstwa w parlamencie węgierskim spowodowała rzeczywiście upadek gabinetu hr. *Khuena-Hederwarego. Podał się on do dymisyi,* którą cesarz Franciszek Józef przyjął, lecz przez to przesilenie wewnętrzne w Austryi i Węgrzech w jeszcze groźniejszą wstąpiło fazę. Węgrzy, jak wiadomo, żądają *zupełnego podziału wspólnej dotychczas armii austro-węgierskiej na austryacką i osobną węgierską* z węgierskiemi sztandarami, oficerami i węgierską komendą. Bez spełnienia tego żądania żaden rząd węgierski utrzymać się nie zdoła. Spełnienie zaś tego żądania nadwyręży bardzo *mocarstwowe stanowisko Austryi i Węgier* i kwalifikacyą tego mocarstwa do zawierania sojuszów. Już też podobno z *Berlina* zwrócono rządowi austryackiemu na to uwagę, że taki podział armii austryackiej osłabi bardzo znaczenie Austryi w trójprzymierzu. To, co prawda, nie byłoby jeszcze nieszczęściem dla Austryi, cóż kiedy rządowi austryackiemu bardzo chodzi o przynależność do tego przymierza. Może więc dla przejednania Niemiec spełniono ich życzenie w sprawie wyboru Papieża. Swoją drogą szlachetny *Franciszek Józef* w trudnem znajduje się położeniu. Wypadki na Węgrzech zmusiły go do przerwania swego letniego pobytu w Ischlu i do wyjazdu na Węgry, gdzie osobistemi wpływami starać się będzie o złagodzenie oporu Madziarów. Wątpliwą jednakże jest rzeczą, czy się to okaże możliwem.

Ubiegły tydzień obfitował wogóle w ważniejsze wypadki. W *Macedonii wybuchło na nowo powstanie przeciwko Turkom* i to z większą siłą niż przed kilku miesiącami. Kierownicy powstania oświadczają nawet, że teraz dopiero, po żniwach, gdy ludność zaopatrzyła się znów w żywność, walka rozpocznie się dopiero *na dobre.* Oddziały powstańcze liczą już razem przeszło 5000 głów i posiadają doskonałe karabiny i spory zapas *bomb dynamitowych.* Powiodło im się już też poprzecinać wszystkie komunikacye telegraficzne i telefoniczne i pokonać drobne oddziały tureckie w kilkunastu potyczkach. Nowe to powstanie niepokoi bardzo rządy mocarstw, jeżli bowiem potrwa dłużej i będzie *krwawe,* zmusi je do wkroczenia. Ofiarą tych zaburzeń padł znów jeden *z konsulów rosyjskich, Rostkowski w Monastyrze czyli w Bitolii.* Popierał on podobno jawnie powstańców i tem ściągnął na siebie zemstę Turków. To też, gdy wracał z przechadzki podburzony widocznie przez innych żandarm *turecki* dał do niego ognia z karabinu i *zabił go na miejscu.* W podobny sposób, jak wiadomo zginął przed kilku miesiącami konsul rosyjski *Szczerbina* w Mitrowicy. Morderstwo to wywołało wielkie oburzenie w Rosyi, to też rząd rosyjski zażądał od Turcyi surowego ukarania nietylko mordercy, ale także wszystkich władz w Monastyrze. Turcya da tę satysfakcyą, ale nie ulega wątpliwości, że ten wypadek pogorszy stosunki między Turcyą i Rosyą i wyjdzie na korzyść Bułgarów macedońskich. Co do nas, to życzymy im z całego serca, ażeby jaknajrychlej wyswobodzić się z pod jarzma tureckiego.

Rosya ma swoją drogą ciężkie kłopoty *wewnętrzne.* W wielu miastach i osadach przemysłowych w południowej części caratu, np. w *Odesie, Kijowie, Tyflisie, Baku, Batumie i Michajłowie* wybuchły równocześnie groźne *strejki robotników,* wywołane i zorganizowane, jak się zdaje, przez tajne komitety socyalistyczno-rewolucyjne. Podczas tych strejków przyszło w *Kijowie, Tyflisie i Michajłowie do krwawych starć między robotnikami a wojskiem.* Piszą, że podobno trupem padło *200 robotników, a blisko 3000 jest rannych.* Ile w tem prawdy, nie wiadomo. Strejki te dowodzą jednakowoż, że ruch rewolucyjny w Rosyi szerzy się coraz bardziej.

Prezydent gabinetu francuskiego, osławiony pan Combes miał w *Marsylii,* dokąd udał się na kongres świeckich nauczycieli, tragikomiczny wypadek. Gdy po sutym bankiecie podczas którego piorunował naturalnie na Kościół i zakony, wracał do hotelu, jakiś Włoch, nazwiskiem *Agostio,* rzucił na niego zgniłym pomidorem czy też kartoflem.

Niestety chybił celu, zamiast Combesa trafił tym pociskiem jego stangre-

ła, gdy zaś policya aresztowała owego Włocha, towarzysz jego, niejaki *Piccolo* strzelił dwukrotnie w powietrze z rewolweru. Obu uwięziono, a popierające rząd gazety masońskie zaraz uknuły z tego bajeczkę *o zamachu* na Combesa, z którego „cudem tylko" wyszedł cało. Że skończy on marnie, to jest rzeczą prawdopodobną, ale bodaj czy z ręki anarchistów. On sam bowiem, zwalczając Kościół, pośrednio popiera anarchią.

W Niemczech obiegają znów coraz częściej pogłoski o bliskiej jakoby już *dymisyi* kilku ministrów *pruskich*. Jako kandydatów do „spoczynku" wymieniają te pogłoski *Hammersteina, Posadowskyego i Podbielskiego*. My chętnie, zwłaszcza pierwszemu damy krzyżyk na drogę, z tem błogiem uczuciem, że jeden po drugim z naszych wrogów spada z siodła, my zaś żyjemy i żyć będziemy. Maluczko, a śladem tych panów pójdzie także wynalazca „dzioba polskiego" i pogromca „polskich królików" hr. *Bülow*. Chwała jego w proch się rozleci, a my? No, my z politowaniem wspominać będziemy o nim, jako o jednym z tych, którzy daremnie walczyć chcieli z wolą Bożą.

K. O.



Przegląd prasy.

Że „Polonia semper fidelis" — „Polska zawsze wierna," na to nowy dowód złożyła teraz z powodu zmiany na Stolicy św. *prasa polska*. Z prawdziwie dziecięcym żalem żegnała zmarłego wielkiego Papieża, z dziecięcem też zaufaniem powitała wybór Piusa X. Nawet radykalne organa narodowe (prócz naturalnie *socyalistycznych*, których też do prasy narodowej nie zaliczamy) złożyły hołd wierności nowej Głowie Kościoła wyrażając nadzieję, że nas pozbawionych samodzielności politycznej, a tem samem w bardzo trudnem znajdujących się położeniu, taką samą otoczy opieką, jak dwaj ostatni Namiestnicy Chrystusowi. Wiadomości o wyborze i o koronacyi zajmowały też we wszystkich dziennikach naszych całe kolumny. Dwa z nich ukazały się nawet *w kolorowych* ozdobnych wydaniach, mianowicie *„Kuryer Poznański"* i lwowska *„Gazeta Narodowa."* Pierwszy tak pisze z okazyi koronacyi papiezkiej:

„I Polska cała światłem wiary idącem z Stolicy Rzymskiej, jak się nauczyła w jedności z Rzymskim Kościołem upatrywać *kotwicę ratunku*, jak się złączyła przez wielkie serca wiekopomnej pamięci **Piusa IX i Leona XIII nowem ogniwem miłości, wykutem w ogniu bólu i pokus zwątpienia, z Piotrową Skałą, tak serdeczną miłością umiłuje Jego, który pod drogiem jej sercom imieniem Piusa kierować będzie Kościołem Bożym na ziemi. Dziś w dzień koronacyi Twej — Ojcze św. — wyznawamy wszyscy społem choć podzieleni politycznie, *ale jedni wiarą i miłością względem Kościoła katolickiego* i Stolicy Apostolskiej, iż całą duszą oddani jesteśmy Tobie jako namiestnikowi Chrystusa na ziemi — a tę samą, co Poprzednikom Twoim przyrzekając Ci wiarę, karność i posłuszeństwo synowskie łączymy się z narodami katolickimi w niebokrężnym okrzyku: „Niech żyje Papież, Król, Ojciec św. Pius X."**

Natomiast demokratyczny *„Dziennik Berl."* kładzie w swym artykule szczególny nacisk na pochodzenie nowego Namiestnika Chrystusowego z ludu i tak się odzywa:

„Nowy Papież nie ma ani rozległych obszarów ziemi, ani wojska, ani armat lub bagnetów do dyspozycyi, ale mimo to rozporządza wspaniałem królestwem, bo podlegają mu dobrowolnie setki milionów wiernych członków Chrystusowego Kościoła, którzy widzą w nim swego duchowego suwerena. A gdy jeszcze tym suwerenem jest dziś mąż, który nie urodzeniu wysokiemu, ale cnocie osobistej tron swój i władzę nad duszami zawdzięcza, więc tem chętniej garną się pod jego ojcowskie skrzydła i wołają z serca: Pius X niech żyje i niech nam panuje w najdłuższe lata!

„I Polska zawsze wierna — semper fidelis — staje dziś w rzędzie gratulantów i wznosi okrzyk ten z zapałem, oddając się silnej a uzasadnionej nadziei, że obecny Papież, który *sam poznał dolę upośledzonych*, nie zapozna doli najwięcej dziś upośledzonego, najwięcej prześladowanego a *najbardziej Kościołowi oddanego narodu*."

Podobnie wyraża się *„Gazeta Grudziądzka."* Oto końcowy ustęp z jej artykułu powitalnego:

„Naród polski zaś pomny na obfite łaski, które Stolica św. wśród odmiennych losów na nas zlewała jak dotąd przez wieki całe, stać będzie wiernie przy Stolicy Apostolskiej i Papieżu. Nieszczęśliwy naród nasz głęboko w sercach swoich wyrył głos, który podnosili poprzednicy Piusa X w obronie naszej i wyrzucali światu zbrodnię, jakiej się na nas dopuszczono. Z potężnych obrońców chrześcijaństwa, co piersiami swemi zasłaniali Europę od najeźdźców pogańskich, staliśmy się ludem bezdomnym na swej własnej ziemi, uciśnionym i pokrzywdzonym w najświętszych prawach swoich. Dziś wśród ubóstwa i niedoli naszej nie stać nas na świetne hołdy dla nowego Papieża, jakie kiedyś za lepszych czasów składali Papieżom po każdorazowym wyborze ojcowie nasi. Za to składamy u stóp nowego Papieża Piusa X, *serca nasze, wprawdzie zbolałe i poranione ciosami stuletniej niewoli, ale wierne i przepełnione miłością do Stolicy Piotrowej*."

Tak przemawiają więc nawet *skrajne* czyli tak zwane *„radykalne"* polskie pisma. Jakże wobec tego wygląda zdanie ks. kardynała *Koppa* i całej falangi pism *niemiecko katolickich*, że narodowy „radykalizm" polski wiedzie do zerwania z Kościołem i do niewiary? Zamieszczamy powyższe głosy *umyślnie* w obszerniejszych streszczeniach, aby zadać kłam tym twierdzeniom naszych przeciwników.

Zajmująca polemika wywiązała się świeżo między „Krajem" Petersburgskim, a *„Dziennikiem Berlińskim"* o . . . . . *„Te deum"* w rocznicę bitwy pod *Grunwaldem*, śpiewane dotychczas corocznie w tumie *gnieźnieńskim* i o stanowisko naszego *Arcypasterza* wobec rządu. „Dziennik Berliński" dał wyraz wielkiemu niezadowoleniu ogółu polskiego, że w tym roku pod presyą rządu odśpiewania „Te Deum" *zaniechano*. Na to *„Kraj"* zauważył, że przecie trzeba uwzględnić trudne położenie Najp. ks. Arcypasterza, który chociażby chciał *nie mógłby się niezastósować do rozporządzenia rządu pruskiego*. Na to odpowiada trafnie *„Dziennik Berliński:"*

„Jakto? więc doszło już do tego, że są Polacy, którzy sądzą, iż arcybiskup gnieźnieński i poznański nie może nie zastosować się do rozporządzeń rządu pruskiego? Więc arcybiskup ten w oczach redaktora „Kraju" jest już tylko obowiązanym do bezwzględnego posłuszeństwa urzędnikiem pruskim, a nie *księciem Kościoła katolickiego?* Więc dla tego, że trudnem jest jego położenie, *musi* on zastosowywać się do każdego rozporządzenia rządu, choćby ono, jak w tym przypadku, wdzierało się do najwewnętrzniejszej dziedziny urządzeń kościelnych? *Toż to byłoby zupełną kapitulacyą katolickiej władzy duchownej przed protestanckim rządem?*

„My doskonale zdajemy sobie sprawę z trudności położenia, w jakiej się obecnie znajduje arcybiskup - Polak w Prusach, patrzeliśmy na nie zbliska, znamy różne arkana z tej dziedziny, o trudności jego położenia świadczące, a o których niefortunny petersburski „obrońca" ks. arcybiskupa Stablewskiego nie ma pojęcia, ale właśnie dla tego pragniemy, a z nami, rzec śmiało możemy, całe społeczeństwo, żeby nam następcy Prymasów Polski *nie degradowano na prostego urzędnika pruskiego, uległego każdemu skinieniu z Berlina*, ale żeby ono w nim *mogło widzieć zawsze śmiałego i energicznego obrońcę praw swoich w dziedzinie kościelnej*."

Odezwa nowego ślązkiego *„Towarzystwa ludowego"* pod przewodnictwem ks. *Skowrońskiego* nie znalazła *jednogłośnie* życzliwego powitania ze strony prasy polskiej. Z uznaniem *zupełnem* i zupełnem zaufaniem traktują ją jedynie organa dawniej ugodowe

Natomiast pisma ludowe przyjęły ją z pewnem niedowierzaniem. *„Górnoślązak“* np. pisze:

„Odezwa wprawdzie mówi o zgodzie pomiędzy zwaśnionymi obozami na Ślązku, lecz w taki sposób, że wzbudzać musi podejrzenie i wątpliwości. Pod odezwą bowiem podpisane są same figury Katolikowe, a nie widzimy żadnego nazwiska z obozu narodowców.

„Niektóre gazety polskie, podając tę odezwę, uważają ją za krok pojednania. My atoli nie możemy się w niej dopatrzeć takiej tendencyi. Kto bowiem dąży do pojednania, do zgody rzetelnie, ten powinien działać nie na własną rękę — bo do zgody potrzebne są dwie strony. Przeciwnie uważamy ową odezwę za zwróconą przeciwko ruchowi narodowemu na Ślązku, a na rzecz centrum. Ton jej bowiem nie jest szczerze polskim, ale przeziera z niego zakapturzony centrowiec pokroju polskiego. Na taką dwulicowość pisać się nie możemy, bo nam nie wystarcza hasło „za wiarę katolicką i lud polski“, lecz żądamy, aby sztandar narodowy tam właśnie, gdzie sprawie naszej grozi niebezpieczeństwo, wysoko został wzniesiony.“

Natomiast krakowska *„Nowa Reforma“* i lwowskie *„Słowo polskie“* nie godzą się na tę nieufność, lecz przyznają, że ta organizacya, powołując także *narodowe duchowieństwo śląskie* do pracy narodowej, może zdziałać dla naszej sprawy *dużo dobrego.*

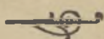
„Dziennik Poznański“ rozhulał się na dobre na karkach naszych *kolonizatorów*, co mu się *bardzo chwali.* Ubolewać tylko można, że hula w tym kierunku trochę *za późno.* Ale lepiej później, niż nigdy. Dla tego, aby go ośmielić i zachęcić do dalszych takich pożytecznych występów, cytujemy z ostatniego jego artykułu, wymierzonego przeciwko rodzinie *Urbanowskich z Turostowa* następujący ustęp:

„Faktem jest, że p. Urbanowski nie wychował synów na obywateli, umiejących i pragnących służyć krajowi, faktem jest, że żaden z nich nie obrał sobie zawodu, w którymby się wykształcił, że wychowany w ten sposób, nie tylko nie umiał, ale już nie chciał wziąć za sochę narodowego pługa i orać w pocie czoła. To wszystko fakta dopełniające winy p. Urbanowskiego.

„Jeżeli wobec tego p. Urbanowski jeszcze sprostowań czy odwołań publicznych pragnie, jeżeli pragnie, by sprawa jego raz jeszcze przed forum publiczne była wytoczoną, to chyba swej winy, wobec narodu zrozumieć nie chce czy nie może.

„Wystąpienie to jest charakterystycznem znamieniem obecnej chwili, gdzie każdy łotr, któremu może na mocy paragrafów prawnych łotrostwa dowieść nie można, „honoru“ swego na drodze prawnej broni, tak jakby „honor“ wyrokiem prawnym dał się uratować. „Honor“ nasz *to praca dla kraju, to poświęcenie się dla niego, to zaparcie się siebie w pracy dla społeczeństwa, a nie frymarka najświętszemi dobrami narodowemi, nie czcze blagi, a tym mniej sądowy wyrok.“*

Red.



Nagroda za lojalność.

Kraków w sierpniu.

Miesiąc już minął od okropnej powodzi, jaka nawiedziła zachodnią Galicyą a zwłaszcza Księstwo *Krakowskie;* straty, poniesione przez ludność tej części kraju są już obliczone — wynoszą one w samym tylko Krakowie blisko 3 miliony koron — a dotychczas nic jeszcze nie słychać, *czy i o ile rząd austryacki z funduszów państwowych zamierza przyjść w pomoc dotkniętej tak ciężko ludności?* Namiestnik Galicyi, hr. Andrzej *Potocki* bawił w tej sprawie w *Wiedniu,* udał się nawet do uroczego *Ischlu,* gdzie obecnie przebywa cesarz *Franciszek Józef;* lecz do chwili, w której wam to piszę, rezultat zabiegów jego nie jest jeszcze znany. Rząd milczy, jak zaklęty, a tu biedną ludność okolic zalanych trapi nędza i ogarnia rozpacz.

Prasa galicyjska dopomina się gwałtownie rychłego zwołania *Sejmu galicyjskiego,* aby on przynajmniej obmyślił jakie środki ratunkowe dla powodzian. I poza tem zalega tyle spraw autonomicznych kraju, że właściwie samorząd stał się na razie *iluzorycznym.* Rząd tymczasem ani myśli o zwołaniu sejmu. Obiegają pogłoski, że ma się odbyć krótka sesya *jesienna,* lecz są to dotychczas *pogłoski tylko* — bez faktycznej podstawy. Ale przyjąwszy nawet za pewnik, że sesya taka się odbędzie, to czyż przyda się na co krajowi? Materyału do obrad sejmowych jest takie mnóstwo, że aby wszystko załatwić należycie, potrzebaby na to conajmniej *kilkomiesięcznej* sesyi. A tu sesya jesienna ma w najlepszym razie być *krótka,* co w austryackim języku urzędowym znaczy 3—10 dniowa. Przypuszczać więc tylko można, że *rząd boi się Sejmu, boi się krytyki swego postępowania wobec Galicyi,* krytyki, która się na posiedzeniach Sejmu odezwie zapewne z wielką siłą.

Prezydent gabinetu austryackiego dr. *Koerber* widocznie czuje to sam dobrze, że dużo zawinił względem Galicyi. Pominąwszy już inne sprawy, to sama sprawa *upaństwowienia kolei północnej,* tak zwanej kolei imienia cesarza *Ferdynanda* jest *krzywdą, wołającą o pomstę do nieba.* Kolej ta — to najważniejsza dla Galicyi arterya komunikacyjno-eksportowa, otwiera jej bowiem a raczej powinna jej otwierać drogę do zbytu płodów rolnictwa i przemysłu. Należy ona do grupy finansistów *niemiecko-żydowskich,* ci zaś, jakby się uwzięli na Galicyą. Nietylko gnębią ją najniekorzystniejszemi *taryfami,* lecz nadto zachodnie jej kresy oraz polskie księstwo Cieszyńskie usiłują germanizować przez nasyłanie urzędników niemieckich, niemieckie napisy i gwałcenie narodowości niższych polskich urzędników i robotników kolejowych. Upaństwowienie tej kolei stało się więc dla Galicyi kwestyą wprost *piekącą, kwestyą bytu niemal,* było zaś możliwe już od 1 stycznia r. *1904.* Przyznać trzeba, że Koło polskie w *Wiedniu* zajęło też na zewnątrz przynajmniej w tej sprawie bardzo stanowczą pozycyą. Na odbytem przed kilku miesiącami posiedzeniu powzięło nawet *ostrą uchwałę,* iż całe swoje dalsze postępowanie czyni zależnem od spełnienia tego żądania swego (upaństwowienia kolei), że nawet zwróci się *przeciwko rządowi,* jeżeli ten się okaże powolnym w tej sprawie. Lecz do Koła polskiego w Wiedniu zastosować należy stare przysłowie niemieckie, że „Es wird nicht so heiss gegessen, wie es gekocht wird.“ Wiedział o tem dobrze gabinet pana Koerbera, który na każdym kroku forytuje *Niemców.* Dla pięknych oczu i dobra Niemców zbywał Koło polskie przyrzeczeniami i *układami,* aż wreszcie... odroczył Radę państwa na mocy § 14 konstytucyi, dozwalającego nam rządzić także *bez parlamentu* i w ten sposób pozbył się z głowy i tego kłopotu. Koło nie może teraz *nic zdziałać w tej sprawie;* to pewna też, że upaństwowienie kolei nie nastąpi dnia 1. stycznia 1904 r., bodaj czy nawet za dwa lata, a kto wie czy nie zostanie odroczone wogóle — ad calendas graecas...

Nic więc dziwnego, że *taka nagroda za tyloletnią uległość i lojalność Koła polskiego* oburzyła do żywego społeczeństwo galicyjskie. Burzą się zaś nietylko więcej lub mniej radykalni demokraci, lecz także — częściowo — *konserwatyści.* Nie dawno temu odbył się w Tarnopolu sejmik konserwatystów podolskich, na którym po referacie posła z większej własności *Garapicha* i po mowie posła Viviena powzięto rezolucye, wywające Koło, ażeby zmieniło swoje stanowisko wobec gabinetu Koerbera i starało się *go obalić wszelkiemi możliwemi sposobami.*

Rezolucye te wywołały zachwyt w całym kraju, z wyjątkiem *krakowskiej partyi konserwatywnej.* Organa tej partyi: *„Czas“* i *„Przegląd Lwowski“* przeraziły się niemi na prawdę. Cóż to! — pytają, czy Koło polskie ma się chwycić nawet *obstrukcyi?* I na myśl tę załamują ręce i bia-

dają nad *niesforności polską!* A że partya krakowska jest bardzo potężna, więc owe rezolucye pozostaną rezolucyami a Koło polskie — mimo tylokrotnego kopnięcia — dalszym sługą rządu. A potem dziwią się niektóre czynniki, że *socyalna demokracya ogromne czyni postępy w kraju.*

Tak rzecz przedstawia się dziś, gdy to piszę. Czy w chwili, gdy ta moja korespondencya ujrzy światło dzienne, położenie będzie już inne, czy rząd przynajmniej da kilka milionów *dla powodzian* — nie wiem, ale wątpię o tem. To tylko mogę dziś wam powiedzieć: „Chwalcie Boga, że pozbyliście się nareszcie z „Koła" *waszego — waszych ugodowców*".

. . Galicyanin.

Głosy od Przyjaciół.

Berlin, w sierpniu.

Do szanownych Towarzystw polsko-katolickich a przedewszystkiem do Was, kierowników tych Towarzystw na obczyźnie, które w ciągłej zniewolone są żyć walce z niemczyzną, zwracamy się niniejszem z bratniem serdecznem pozdrowieniem i z gorącą prośbą połączenia się z nami do pracy narodowej i obrony spraw naszych zawodowych pod jednym wspólnym sztandarem.

Wielu z Was, bracia robotnicy, błąka się do dziś w obcych nam wiarą i językiem Towarzystwach i Związkach. Jedni zaciągają się pod sztandar stowarzyszeń t. zw. zawodowych, przeważnie socyalno-demokratycznych, drudzy do niemiecko-katolickich, centrowych Arbeitervereinów. I w jednych i drugich nie powinno być miejsca dla Was. W międzynarodowych, socyalno-demokratycznych Związkach grozi Wam w razie dłuższego przebywania w nich osłabienie w wierze przodków, w niemiecko-katolickich „Arbeitervereinach" utrata narodowości polskiej. Szczególnie niebezpieczną jest dla Was germanizacya przez czynniki kościelne. Poczciwy lud nasz przychodzi z kraju mało narodowo i obywatelsko uświadomiony, i łatwo przystępuje do niemiecko-katolickich „Arbeitervereinów", bo widzi na ich czele zawsze księdza — o narodowość jego nie pyta — i pociąga go kasa pogrzebowa, którą utworzono w Związku niemiecko-katolickich Towarzystw robotniczych.

Dla widoku księdza, chociaż on wcale nie mówi jego językiem i dla owej kasy pogrzebowej, przystępuje dużo polsko-katolickich robotników do niemieckiego Związku i z czasem zatracają swoje poczucie narodowe, żenią się z Niemkami i dzieci wychowują na Niemców.

Wielkie niebezpieczeństwo, grożące z tej strony masom polskiego robotnika, przychodzącego dla pracy na obczyznę i łapanego do pomienionych Towarzystw, gdzie gubią wiarę i narodowość, poznaliśmy tu w Berlinie i, sądząc, że chcąc siebie obronić, trzeba walczyć tą samą bronią, której przeciw nam używa wróg nasz, przystąpiliśmy do utworzenia naszego Związku, aby przez niego wspólną siłą odeprzeć nawałę germanizacyjną, idącą na rodaków naszych, przebywających na obczyźnie niemieckiej.

Do Związku naszego, mimo krótkiego istnienia, wstąpiła na ostatniem posiedzeniu wielka liczba Towarzystw z rozmaitych stron państwa niemieckiego i dla tego mamy nadzieję, iż na przyszłem zebraniu znajdą się także Towarzystwa z okolic Westfalii i Nadrenii, gdyż i dla nich jest w naszym związku miejsce. Jeżeli tak dalej Związek nasz będzie prosperował, jak dotychczas, to możemy żywić uprawnioną nadzieję, iż z czasem, gdy przyłączą się do nas wszystkie polsko-katolickie Towarzystwa na obczyźnie, staniemy się bardzo poważną siłą w obronie naszych braci robotników, zmuszonych szukać pracy w Niemczech, że uda nam się wielu z nich uratować od zniemczenia się.

Ku temu celowi postarał się nasz Związek, żeby członkowie i Towarzystwa, przystępujące do niego, mieli podobne materyalne korzyści, jakie dają tyle niebezpieczne dla narodowości naszego polskiego robotnika niemiecko-katolickie „Arbeitervereiny". Jeżeli według dotychczasowych naszych ustaw Towarzystwo związkowe opłaca od każdego swego członka 50 fen. wstępnego i 10 fen. składki miesięcznej, to jego członkowie mają ztąd takie korzyści: Jeżeli umrze członek, który do Związku należał pół roku, to jego spadkobiercy odbierają 30 mr. (po roku 60 mr.), w razie śmierci zaś żony odbiera członek 30 mr. na opędzenie kosztów pogrzebowych.

Pozatem mają Towarzystwa, należące do Związku, z tego różne korzyści moralne, bo Związek czuwa nad rozwojem wszystkich należących do niego Towarzystw i szczególnie zajmuje się Towarzystwami słabszemi. W tym celu postarał się o utworzenie osobnej komisyi wykładowej i agitacyjnej, której członkowie jeździć będą do Towarzystw zaniedbanych z wykładami i starać się zarazem pozyskać dla Związku rodaków, żyjących dotąd w zupełnem pod względem narodowym odosobnieniu.

Może niektóre z Towarzystw polsko katolickich robotników powiedzą sobie, że im za daleko do Związku berlińskiego! I na to jest rada.

Jeżeli w kołach naszych robotników, czy w kraju czy na obczyźnie, przyjmie się myśl, że taki jeneralny Związek polskich robotników na całe Niemcy jest konieczny, tak jak go mają Niemcy, czy socyaliści, czy katolicy, to nie trudno będzie zorganizować się wtedy według prowincyi. W każdej będzie się mógł wtedy utworzyć prowincyalny zarząd związkowy, Towarzystwa tamtejsze będą co kwartał urządzały zebrania swoich delegatów i radziły nad sprawami lokalnemi i ulepszeniami w Związku, które po tem przedłożą sejmikowi całego Związku w Niemczech. W razie pomyślnego rozwoju naszej sprawy są więc przewidziane osobne organizacye prowincyalne naszego Związku 1) na Brandenburgią, 2) na Saksonią, 3) na Łużyce, 4) na Westfalia, 5) na Nadrenią, 6) na Śląsk, 7) na W. Ks. Poznańskie, 8) na Prusy Wschodnie, 9) na Prusy Zachodnie itd. W razie szerszego rozwoju Związku, mianowicie w kraju, siedzibą jego wcale nie potrzebuje być nadal Berlin. Pozostanie nią oczywiście Berlin, dopóty punkt ciężkości rozwoju Związku stanowić będzie właśnie stolica Niemiec.

Rzeczą braci naszych robotników jest, żeby się wycofali z obcych Związków i przystąpili do swego, który im podobne da korzyści, jakie członkom swoim dają tego rodzaju Związki niemieckie, skutkiem czego do tych Związków tak dużo dotąd należało polskich robotników. Ci bracia nasi koniecznie muszą z nich wystąpić i pieniądze swoje, które dotąd składali w niemieckich Towarzystwach i bankach, zasilając przez to cele antypolskie, umieszczać podług wskazówek naszych w pewnych polskich instytucyach.

Rzeczą będzie zarządu, żeby ani fenyg, złożony przez brata naszego, polskiego robotnika, nie został uroniony, ale żeby przynosił mu odpowiedni zysk i korzyść.

Śmiało więc bracia robotnicy polscy, garnijcie się pod nasz sztandar, czy to na obczyźnie, czy w kraju, — znajdziecie u nas te same korzyści, które wam dają niebezpieczne dla waszej wiary i narodowości Związki niemieckie, a po za niemi, pomoc moralną, której wam Związki niemieckie dać nie mogą.

Jeżeli wszyscy robotnicy polscy staną w jednym szeregu bratnim i oprą pomoc wzajemną materyalną i moralną na własnych siłach, wtedy żadna siła wroga nie zmoże naszej narodowości.

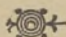
A zatem druhowie, czy od kielni, czy

od młota, czy od piły, ramię do ramienia:

Niech żyje Związek Towarzystw Polsko-Katolickich Robotników w Niemczech! Niech żyje solidarność interesów wszystkich polskich robotników w kraju i na obczyźnie!

Wszelkich objaśnień co do Związku udziela prezes tegoż za nadesłaniem 20 fenygowego znaczka pocztowego na portoryum p. *T. Bloch*, Berlin, Barnimstrasse 11.

Zarząd.



TELEGRAM.

Najprzewielebniejszy Ksiądz Arcypasterz Floryan wysłał na wieść o wstąpieniu na Stolicę Apostolską Ojca św. Piusa X następujący telegram do Rzymu.

Sa Saintete Pape Pie X.

Rome.

Qui contristavit nos in morte Leonis consolatus est nos Deus in electione Sanctitatis Vestrae. Ad cuius pedes obsequii, obedientiae, filialis amoris sensus deponens humillime imploro, ut Sanctitas Vestra mihi, clero, fidelibusque dioecesium mearum, quas olim Eminentissimus Ledóchowski gloriose regebat, Benedictionem Apostolicam benigne impertire dignetur.

† Florianus,
Archiepiscopus Gnesnensis et Posnaniensis.

Na telegram powyższy nadeszła następująca odpowiedź:

Floriano Archiepiscopo Gnesen Posen Kroeben.

Summus Pontifex Pius X filialis devotionis sensibus acceptis sincero cordis affectu tibi, clero fidelibusque tuis apostolicam benedictionem impertire dignatus est.

Merry del Val.

* * *

Powyższy telegram i odpowiedź nań brzmią w tłómaczeniu polskiem jak następuje:

Do Jego Świątobliwości Papieża Piusa X. w Rzymie.

Bóg, który nas zasmucił śmiercią Leona, pocieszył nas wyborem Waszej Świątobliwości. Składając u stóp Świątobliwości Waszej uczucia uległości, posłuszeństwa i miłości synowskiej najpokorniej proszę, aby Wasza Świątobliwość błogosławieństwa apostolskiego łaskawie udzielić raczyła mnie, duchowieństwu i wiernym dyecezyi moich, któremi ongi Jego Eminencya śp. kardynał Ledóchowski chwalebnie rządził.

† Floryan,
Arcybiskup Gnieźnieński i Poznański

Odpowiedź:

Do Najprzewielebniejszego księdza Arcybiskupa Gnieźnieńskiego i Poznańskiego Floryana w Krobi.

Ojciec św. Pius X. przyjął wyraz złożonych Mu uczuć synowskich i ze szczerego serca udziela Tobie, Duchowieństwu i Wiernym Twoim apostolskiego błogosławieństwa.

Merry del Val.



Floryan

ze zmiłowania Bożego i św. Stolicy Apostolskiej łaski

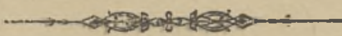
Arcybiskup Gnieźnieński i Poznański

tejże Stolicy Apostolskiej Legat urodzony
itd. itd.

Duchowieństwu i wiernym

obu archidyecezyi

pozdrowienie i błogosławieństwo Arcypasterskie w Panu



Najmilsi Moi!

Stało się, czego od dni kilkunastu serca nasze z trwogą oczekiwały.

Ojciec św. Leon XIII. zakończył ziemską pielgrzymkę w poniedziałek, dnia 20-go lipca.

Od dwóch tygodni w trwodze i niepokoju zwrócone były oczy całego świata na stolicę Piotrową. W komnacie Watykańskiego pałacu dogorywał jeden z największych papieży. Gdy śmierć złamała to wątłe na pozór ciało po długiej walce, nie ma bodaj dziś na całej kuli ziemskiej jednego miejsca, gdzieby ta wieść nie wywołała tak żywego poruszenia, jakie dzieje tylko o najpotężniejszych ludziach głoszą. Synowie Kościoła katolickiego opłakują zgon Ojca, który miłością swoją wszystkich do siebie umiał pociągnąć, a blaskiem chwały, ze zamknięcia swojego, potęgą ducha okrył Kościół cały. Wszyscy zaś inni, bez różnicy wyznań i narodowości, łączą się współczuciem wobec majestatu śmierci jednego z największych mężów.

Jak ongi za czasów wielkich papieży Grzegorza lub Innocentego, tak i dzisiaj Rzym jest tym punktem środkowym, który skupia w sobie interes całego świata. Dowód to wszechświatowego posłannictwa i znaczenia papieztwa — dowód to zarazem wielkości duchowej Leona XIII., który się do tego tak potężnie przyczynił.

Bóg to sprawił. Gdy dzisiaj świat tylko siłę materyalną, fizyczną uznaje i przed nią się korzy, tutaj Bóg widomie duchową potęgę chciał objawić w Leonie XIII. Ciało wątłe i nikłe, duch zaś, który zdumiewał głębokością myśli, szerokością poglądów na najgłębsze i najtrudniejsze zadanie ludzkości.

Duch tak silny, iż konanie i walka ze śmiercią nie miała siły stłumienia jasności i światła tego ducha.

Ale zaiste *„przystało, abyśmy takiego mieli najwyższego kapłana"* (List do Żyd. 7, 26). Opatrzność Boża, kierując losami Kościoła, dała go nam wtedy, gdy skołatanej łodzi Piotrowej właśnie takiego sternika najwięcej było potrzeba.

Duch ludzki, odbiegłszy w ostatnim wieku dróg Pańskich, popadł w zwątpienie i ciemności. Chce żyć bez nadprzyrodzonego światła na ziemi — bez nadprzyrodzonego celu po śmierci. Zamęt wielki się tworzy w tych ciemnościach nocy. Ludzie do rzędu zwierząt w przeznaczeniu swojem się zniżają. Zachwiane wszystkie podstawy dotychczasowego ustroju społecznego: życie rodzinne, prawo własności, warunki zarobkowania, stosunek podwładnych do przełożonych. Wiedza ludzka oderwana od Boga, chcąc te filary życia społecznego oprzeć na innych podstawach, aniżeli chrześcijańskich, wstrząsnęła do głębi całym gmachem długowiekowego ustroju, osłabiła go aż do pochylenia, aż do upadku prawie. Niczego nie zbudowała — a w końcu zwątpiła sama o sobie.

I zaczęła się budzić w świecie tęsknota za wiarą dawnych wieków.

Ale czyż da się wiedza obecna połączyć z wiarą? czy będzie można warunki obecne dostroić do zasad chrześcijańskich? czy postęp oświaty nie stoi w sprzeczności z ewangelią Chrystusową? Któż rozproszy wątpliwości? Któż wskaże drogę?

I oto powstaje jako wielki nauczyciel i doktór Kościoła Leon XIII. I spełniają się na nim słowa mędrca Pańskiego (Ekkl. 39. 8—15): *„Bo jeźli Pan wielki bę-*

dzie chciał, napełni go duchem zrozumienia. A on jako rosę wyda z siebie wymowy mądrości jego . . . . i będzie rozmyślał o tajemnicach jego. On jawnie okaże umiejętność nauki jego, a będzie się chlubił zakonem testamentu Pańskiego. Mnodzy będą chwalić mądrość jego i aż na wieki nie będzie wymazana. I nie ustanie pamiątka jego i w imieniu jego pytać się będą od narodu do narodu. Mądrość jego narody wysławiać będą, a Kościół chwałę jego opowiadać będzie."

Encykliki Papieża Leona XIII. pozostaną na zawsze drogowskazami na szlakach ducha ludzkiego wskazującemi, kędy do prawdy i do szczęścia prawdziwego dążyć trzeba.

Wskazują, że nauka Chrystusowa i środki przez Zbawiciela świata zalecane, a złożone w skarbnicy Kościoła katolickiego nie stoją bynajmniej w sprzeczności ani z wiedzą, ani z oświatą, ani ze staraniem się godziwem o dobrobyt i postęp. Ale owszem — że jedynie na niewzruszonych zasadach chrześcijańskich opiera się nauka, rodzina, wychowanie młodzieży, życie społeczne, ustrój państwowy. Uczą, że Jezus Chrystus jako prawdziwy Zbawiciel świata jest drogą, żywotem i prawdą nie tylko ku zbawieniu wiecznemu, ale także ku szczęściu doczesnemu. Ztąd też ze wszystkich odezw, pism i nauk Papieża Leona XIII. przebija się ciągle i zawsze troskliwe a naglące wołanie i upominanie wielkiego serca ojcowskiego, aby świat powrócił do Jezusa Chrystusa, do jego nauk i zasad, powrócił do Kościoła, który onych prawd chrześcijańskich jest stróżem z Bożej ręki ustanowionym, aby powrócił do wiary Kościoła katolickiego i stał się odblaskiem ziemskim Bozkiego Jeruzalem, stał się jednem, wielkiem miastem Bożem, gdzieby panowały miłość, prawda i sprawiedliwość.

Nie tu pora, ani czas rozbierać po szczególe wszystkie nauki, wskazówki i przestrogi mądrości, jakie Leon XIII. dla ludzkości całej zawarł w swoich wiekopomnych encyklikach czyli listach okólnych. Nieprzebrane są tam skarby, z których czerpać będzie można w długie lata. Nam w tej chwili pobieżnie tylko wspomnieć wolno o tem, co nas najbliżej dotyczy.

Jako najwyższy Pasterz Kościoła czułą otaczał miłością, którą Zbawiciel, jako najlepszy Pasterz przykładem Swoim zaleca, szczególniej owieczki zbłąkane. Ku wschodowi, gdzie stała kolebka rodu ludzkiego i początek brał Kościół nasz święty, zwracało się tęskne serce Leona XIII. Wyciągał ramiona ojcowskie ku ludom oderwanym od pnia prawdziwego Kościoła, ku ludom, wśród których mimo to głęboka ich pobożność daje nadzieję, że kiedyś zakwitnie w całej pełni, jak niegdyś we wiekach Chryzostomów, Bazylich, Grzegorzów. Ale czas żniwa Bożego jeszcze dziś dla nich nie nadszedł. Gdy przeznaczona w wyrokach Bożych godzina wybije, inny kiedyś papież zbierać będzie owoc z zasiewu ręką Leona XIII. rzuconego.

Słowian mianowicie schyzmatyków nawrócenie najgorętszem pragnieniem życia jego było. Ufał, że przez nich cały kiedyś wschodni Kościół do unii z Kościołem rzymskim powróci. Pielgrzymkę Słowian południowych z serdeczną witał radością. W Bośnii i Hercogowinie stałe rządy w Kościele z arcybiskupstwem Serajewskiem na czele ustanowił, a *św. Cyryla i Metodego,* apostołów Słowian, uroczystość w Kościele powszechnym obchodzić kazał.

Co uczynił dla rozszerzenia Kościoła, dzieje opowiadać wam będą. Ale dzisiaj już wam powiedzieć mogę, iż za panowania swojego około 300 nowych stolic biskupich założył, że w najodleglejszych zakątkach świata wśród pogan i dzikich ewangelia przez niezliczone rzesze misyonarzy się głosi. Do wielkich zaś zadań umiał sobie dobierać pracowników. Do dzieła rozkrzewienia wiary wiemy, iż powołał prawdziwie męża Bożego, poprzednika Naszego na Stolicy Naszej, kardynała Ledóchowskiego.

Wszyscy wiemy, jak powagę i znaczenie Kościoła katolickiego podniósł. Nawet najwięksi wrogowie to uznają. A gdy wśród tych dobrej woli ludzi, którzy są odłączeni od matki Kościoła, dawne przesądy przeciwko Kościołowi się zmniejszają lub nikną, to możecie z tego wziąć miarę na zasługi tego wielkiego papieża.

Ileż zmarłemu papieżowi zawdzięczamy, my biskupi, zachęty i wskazówek do dobrego wychowania duchowieństwa. Sam głębokiej nauki i wiedzy pragnął, aby duchowieństwo nietylko dorównywało świeckim, ale ile możności ich przewyższało.

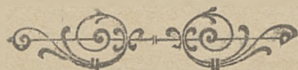
Uczeni całego świata wielbili w nim opiekuna, który przystępnemi uczynił dla dziejopisów wszystkie naukowe źródła dotąd zamknięte. Do końca życia sam wszystkiemi naukowemi zagadnieniami czasów bieżących się interesował, pracował we dnie, pracował w nocy, a wśród bezsennych nocy lub wolnej chwili dnia jedyną rozrywką było, gdy pisał najpiękniejszym łacińskim językiem wiersze najczęściej na chwałę Bożą, Świętych Pańskich lub Najświętszej Panny, do której tak rzewną pałał miłością. Jej chwałę jakżeż zapalił *różańcowem nabożeństwem* we wspaniałych odezwach swoich w sercu milionów wiernych dusz na ziemi?!

Jako nauczyciel Chrystusowy czuł, że jest ojcem *wszystkich narodów na ziemi.* Jak w dzień Zielonych Świątek Pan Bóg uświęcił prawo do życia wszystkich ludów, jak Apostoł narodów Rzymianina, Greka i Żydowina równą otaczał miłością, tak samo Leon XIII w Kościele okazywał ojcowskie serce dla wszystkich narodów, do każdego nieomal z osobną zwracając się encykliką.

Boleści i klęski każdego narodu odczuwal najgłębiej. O ile tylko zdołał, pragnął im ulżyć zabiegami swojemi lub radami zbawiennemi. Najcięższym krzyżem pod koniec jego żywota była ta najstarsza córa Kościoła: Francya, tak mu droga, w której brutalną ręką burzą dzieła świątobliwe, zakłady miłosierdzia i nauki. Zaparto się nietylko zasad chrześciańskich, ale shańbiono się brakiem wszelkich ogólno-ludzkich, humanitarnych uczuć. Do konającego nawet papieża dochodziły echa tej zaślepionej zaciekłości. Dzieje świata napiętnują kiedyś tych wrogów Boga i wrogów wielkości Francyi, a Sąd Boży ich przywódców dosięgnie może rychlej, aniżeli się spodziewają. Świat zaś cały chrześciański i cywilizowany odwraca się już dzisiaj z boleścią od ludzi, co w kraju tępią najszlachetniejsze uczucia miłosierdzia, co nawet powagi śmierci wielkiego „człowieka" uszanować nie umieli.

Pamiętnym także pozostanie dokumentem i dowodem miłości Leona XIII do wszystkich narodów, mocnych czy słabych, wielkich czy małych, encyklika: *„Caritatis Providentiaeque Nostrae"*, w której przy sposobności, gdym ja sługa niegodny, po raz pierwszy jako Arcybiskup Gnieźnieński i Poznański składał hołd wierności z pielgrzymką naszą Namiestnikowi Chrystusowemu r. 1893, tak wspaniale przemówił do narodu polskiego, który przez tyle wieków był „przedmurzem chrześciańśtwa" i krew swą lał za wiarę na tylu pobojowiskach, a którego cząstkę znaczną stanowi nasza dyecezya.

(Dokończenie nastąpi.)





Ojciec św. Pius X.

 DRUKIEM „PRACY“.

Dział ilustrowany.

Album posłów polskich w parlamencie niemieckim.

I.

Książę Ferdynand Radziwiłł — prezes Koła polskiego parlamentarnego i dziedziczny członek pruskiej izby panów — jest obok ks. prał. Jażdzewskiego najstarszym latami służby parlamentarnej posłem polskim.

Urodził się w r. 1834 w Berlinie jako syn księcia Bogusława Radziwiłła i księżnej Bogusławowej z domu hrabianki Clary Aldringen. Jest zatem wnukiem pierwszego i ostatniego namiestnika W. Ks. Poznańskiego, ożenionego z księżną Fryderyką pruską. Przez babkę więc jest spokrewniony z domem Hohenzollernów.

Książe Ferdynand, ożeniony z księżniczką Pelagią Sapieżanką, posiada w Księstwie dobra Przygodzickie z Antoninem a na Wołyniu rozległe włości radziwiłłowskie: Ołyka.

Pomimo, że babka i matka księcia były Niemkami i przez to wpływy niemieckie oddziaływały na niego od młodości a nadto chowal się przeważnie w otoczeniu niemieckiem, książe Ferdynand zachował cechy Polaka i postać jego odbija bardzo dodatnio wobec takiego księcia Antoniego Radziwiłła, przybocznego adjutanta Wilhelma I, i synów jego: książąt Jerzego i Stanisława, o których my, Polacy, nic korzystnego nie umielibyśmy powiedzieć. Aczkolwiek majątki swe posiadają tylko w Polsce i chłop polski lub litewski je uprawia, aczkolwiek cały splendor nazwiska i przeszłość rodziny spoczywa w dziejach Polski, książę Antoni i jego synowie nietylko nie zdradzili nigdy najmniejszym czynem, iż płynie w nich polska krew i przeszłość łączy ich z Polską, lecz całkowicie przeszli do obozu niemiecko-międzynarodowej arystokracyi tak, iż musimy ich zapisać na listę renegatów. Natomiast książe Ferdynand — być może poniekąd pod wpływem Sapiehów — okazywał tendencye polskie i wiernie stał przy sztandarze narodowym. W majątkach jego, gdzie dawniej rządzili wyłącznie Niemcy, obecnie coraz więcej Polaków.

Książe należy do najkonserwatywniejszych posłów polskich, o wybitnie katolickich tendencyach, które okazał nietylko w parlamencie w czasie walki kulturnej, ale i w kraju. Między innemi był organizatorem wiecą papieskiego jubileuszowego w Poznaniu, któremu przewodniczył. Jako mówca parlamentarny nie odznaczył się swadą, ale pełnił swój obowiązek zaszczytnie. W izbie panów podczas debat polskich, gdy nieraz brakło Polaków, on jeden podnosił głos w imieniu naszej dzielnicy. W ostatnich czasach w przemówieniach jego drgała siła przekonania i głębokie oburzenie na krzywdy wyrządzane nam przez rząd. Wprawdzie wystąpienie jego z okazyi interpelacyi w sprawie wrzesińskiej wypadło blado, ale przy debatach nad zniesieniem polskich Towarzystw akademickich przemawiał bardzo szczęśliwie a apostrofa jego o „narodzie z Bożej łaski'' i „króla z Bożej łaski'' ogólny i szczery zyskała poklask.



Książę Ferdynand Radziwiłł.

Bardzo zaszkodził sobie książe Radziwiłł w opinii publicznej biorąc udział w zeszłorocznych festynach cesarskich w Poznaniu. Okoliczność, że jest spowinowaconym z dworem pruskim, nie może tłomaczyć go w pojęciu Polaków. Jako poseł polski i prezes Koła nie powinien był zasiadać przy festynach o charakterze antypolskim. To też w nowem Kole polskiem istnieje prąd przeciwny ponownemu oborowi księcia na prezesa Koła. Posłowie ludowi radziby na czele Koła stawić posła Leona Czarlińskiego. Czy do tego przyjdzie — czas najbliższy okaże.

Zachodzi zresztą pytanie, czy książe — poseł starszej daty, bo zasiadający w parlamencie od r. 1874 jako przedstawiciel okręgu ostrowsko-odolanowsko-kempińskiego — potrafi dostosować się do nowych warunków w Kole, czy pogodzi się z zmienioną fizyognomią Koła, jednem słowem czy przejmie się nowemi prądami i pójdzie z postępem czasu.

Bądź jak bądź uważamy tego sędziwego potomka hetmanów za postać nader dekoratywną w naszem życiu publicznem a co więcej, za jednego z tych arystokratów, który idąc ręka w rękę z narodem budzi ogólny szacunek i lubo nieraz krytykowany nie przestaje być uważanym za prawego syna Ojczyzny.

* * *

II.

Leon Czarliński.

Poseł *Leon Czarliński* jest zpewnością jedną z najsympatyczniejszych postaci na naszej arenie publicznej i, co więcej, „arką przymierza między dawnemi a nowszemi czasy.'' Stanowi bowiem silny łącznik pomiędzy posłami wczorajszej generacyi a młodszemi parlamentaryuszami. A chociaż latami służby narodowej jest między nimi najstarszym, zawsze zaliczać go możemy do młodych duchem. Z tym pięknym zapałem, jaki bił z jego przemówień ongi, gdy zasiadał na ławie parlamentarnej obok Kantaka, Niegolewskiego i Wierzbińskiego, rzuca dzisiaj wrogom naszym w parlamencie gorzkie słowa prawdy. Indywidualną cechą posła Czarlińskiego jest młodzieńczy zapał, głęboka wiara w słuszność praw naszych i przyszłość Polski i ta serdeczna polska nuta, która dźwięcząc w jego przemówieniach

chwyta za serca Polaków tak, iż czujemy, że poseł Leon Czarliński to „nasz,“ z krwi i kości „nasz.“

Poseł Czarliński urodził się w r. 1835 w Chwarznie w Prusach Zachodnich, uczęszczał do gimnazyum w Chojnicach i w Chełmnie, następnie słuchał prawa w Wrocławiu i w Berlinie, poczem oddał się rolnictwu w swej majętności Zakrzewku, w okręgu toruńskim. Obecnie mieszka w Toruniu. Pochodzi on z rozgałęzionej rodziny szlacheckiej kaszubskiej czy zachodnio-pruskiej i przedstawia bardzo dodatni typ szlachcica liberalnego.

Od roku 1876 zasiada w izbie deputowanych a od r. 1893 w parlamencie niemieckim. W ubiegłej kadencyi reprezentował okręg wyrzysko-szubińsko-żniński i przy ostatnich wyborach zdobył tam 11,183 głosów przeciw 10,459, które padły na konserwatystę. Równocześnie został wybrany w okręgu tucholsko- chojnickim, lecz zrzekł się tego mandatu jako pewnego i tak pozostaje nadal posłem wielkopolskim. Jak popularnem jest imie jego, okazuje się z tego, że postawiono go jako kandydata także w zniemczonym okręgu bydgoskim, aby pod tą firmą zdobyć jaknajwięcej polskich głosów.

Przy wszystkich niemal ważniejszych okazyach, poseł Czarliński zabierał głos w izbach parlamentarnych, nie obwijając prawdy w bawełnę, lecz prosto z mostu rzucając ją dosadnio w oczy Niemcom. Przemówienia jego nie posiadają literackiej formy, ztąd w czytaniu tracą, ale oddziaływują przez swą ciętość i szczerość silnie na słuchaczów tak, iż poseł Czarliński posiada ustaloną opinię jednego z najwymowniejszych, a nieustraszonych i gorąco czujących szermierzy parlamentarnych na ławach polskich.

* * *

III.

Józef Głębocki.

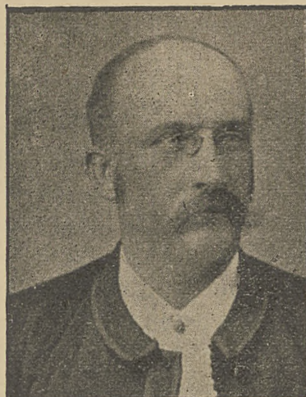
Poseł *Józef Głębocki* — urodzony w r. 1856 w Barcinie, b. właściciel Czerlejna w powiecie średzkim, a obecnie zamieszkały w Kórniku — jest najwybitniejszym może reprezentantem lewicy Koła polskiego. Od r. 1893 jest członkiem sejmu pruskiego, a od r. 1898 zasiada w parlamencie, gdzie jest przedstawicielem okręgu śremsko-średzkiego. W ostatnich wyborach otrzymał tam 14,040 głosów, około 2500 głosów więcej, aniżeli przed pięciu laty. Przyrost ten głosów jest nietylko dowodem wzrastającego uświadomienia obywatelskiego, ale zarazem wzmagającej się popularności posła Głębockiego pomiędzy ludem, na którego strunach sercowych dzielny mówca gra niby wirtuoz.

W ciągu ubiegłej kadencyi poseł Głębocki, zawsze wysoko ceniony, wyrósł na potężny filar parlamentarny. Jako mówca ma sobie równych, ale nikt nie góruje nad nim, a w szermierce przesadził wszystkich. Różni się od



Poseł Leon Czarliński.

innych wybitnie polemiczną zdolnością, tak potrzebną dla posła opozycyjnego. Jakoż szermierki jego z ministrami stanowią retorycznie świetne karty w annalach izb. Z niezrównaną zgrabnością potrafi on pochwycić każdy słaby punkt w argumentacyi przeciwnika, podnieść go efektownie i zbić z sarkazmem i ciętością, która Niemców wyprowadza nieraz z spokoju. Wychodząc ze słusznego założenia, że do ludzi, którzy nie chcą rozumieć logicznego rozumowania, nie warto przemawiać w sposób perswadujący, chłoszcze on przeciwników *w ostrym tonie,* który w gronie eksugodowców natrafił na krytykę, ale zupełnie odpowiada usposobieniu szerokich kół



Poseł Józef Głębocki.

gorąco czujących Polaków. O ów „ostry ton“ toczyła się w prasie dyskusya, która w naszych oczach wykazała słuszność stanowiska zajmowanego przez posła Głębockiego, a z drugiej strony uchyliła zasłonę na pewne przygnębienie i upadek ducha w kołach zachowawczych, które jeszcze nie zerwały ostatnich nici duchowych, łączących ich z minioną, smutną epoką polityki ugodowej.

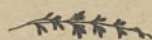
Jako publicysta poseł Głębocki zdobył ostrogi w redakcyi „Dziennika Poznańskiego,“ którym kierował przez czas krótki. Odrazu okazał się bardzo ściśle myślącym politykiem, głęboko i poważnie rozpatrującym zjawiska społeczne. Następnie pisywał „listy z Berlina“ do „Kur. Pozn.,“ które podnosiły znacznie wartość tego pisma. Z chwilą, gdy postępowo-szlachecki „Kuryer“ zmienił front i cofnął się na stanowisko zachowawczo-klerykalne, poseł Gł. zawiesił pióro na kołku.

Wogóle uważamy go za najświetniejszego mówcę naszego i — za najsilniejszą indywidualność pomiędzy naszymi posłami. Z tego wynika, że upatrujemy w nim istotnego kierownika polityki Koła w przyszłości. Pod tym względem ma on w dzisiejszem Kole tylko jednego na przeciwnym biegunie stojącego rywala: ks. prałata Jażdżewskiego. Tor polityki Koła zawisł w gruncie rzeczy od tego, która z tych dwóch indywidualności zwycięży.

Ponieważ poseł Głębocki, jako mąż silnie zsolidaryzowany z obozem postępowo-ludowym, ma za sobą stanowczą większość społeczeństwa, a poseł Jażdżewski należy do partyi, tracącej fundament i ustępującej z pola, palma zwycięztwa w tym turnieju przypadnie zapewne posłowi Głębockiemu. Jest on mężem przyszłości.

Quis.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Znakomity malarz polski.

Malarz Eljasz, znakomity malarz polski, którego portret podajemy poniżej, jest jedną z najsympatyczniejszych postaci wśród naszych współczesnych artystów.

Nazywa się właściwie Radzikowski i mieszka stale w Krakowie. Urodził się w Krakowie 12 września 1840 roku. Po ukończeniu szkół w Krakowie zapisał się do szkoły sztuk pięknych tamże, którą ukończył z odznaczeniem. W roku 1862 był uczniem słynnego Fr. Adama w akademii w Monachium, następnie podróżował po Niemczech, Belgii, Holandyi i Francyi. Długi czas zabawił we Włoszech dla wydoskonalenia smaku estetycznego na dziełach mistrzów szkoły włoskiej. Osiadł wreszcie na stałe w Krakowie, gdzie w gimnazyum św. Anny objął miejsce profesora rysunków..

Przeważnie maluje obrazy historyczne; wymieniamy najważniejsze z nich: Długosz, jako nauczyciel synów Kazimierza Jagiellończyka, So-

bieska z synami u grobowca Żółkiewskiego, Hetman Żółkiewski pod Cecorą, obrona Krakowa od Szwedów, ksiądz Kordecki, obrona Trembowli, wjazd Jana III do Wiednia, opowiadanie wiarusa, sieroctwo matki Jagiellonów.

Oprócz tych historycznych obrazów ogromną wziętością cieszyły się obrazy: Sabała, kłusownik, Gerwazy, ostatni klucznik. Religijnych obrazów niemało znajduje się pędzla Eljasza w kościołach Galicyi i Poznańskiego.

Ogromną wziętością cieszą się piórem wykonane rysunki i ilustracye do pism i książek. Dzieje ilustrowane Polski (Sokołowskiego) dużo zawierają illustracyi Eljasza. Czeski „Svetozor" bardzo często przynosi jego ilustracye. Naszym Czytelnikom talent tego znakomitego malarza znany jest z rozmaitych reprodukcyi, któreśmy nieraz w „Pracy" dawali.

„Praca" cieszy się wielkiemi sympatyami u naszego malarza, jako pismo szczerze ludowe i polskiej sprawie oddane. Walery Eljasz zaszczycił nas kilkakrotnie listami, w których nam swe uznanie wyraża, dostarczył nam nawet bezinteresownie różnych kliszy.

Jedną z zasług Walerego Eljasza, z zasług, które położył dla historyi polskiej, jest wydanie historyi ubiorów w Polsce i u sąsiadów. Historyę tę doprowadził już do XVI wieku.

Eljasz jest wybornym rysownikiem, kompozytorem zrozumiałym i jasnym, ma na palecie swej ogromny zasób farb, obrazy jego odznaczają się żywością i prawdą.

Jako człowiek, jest Walery Eljasz zasłużonym patryotą o szczerze demokratycznych poglądach, wylany i otwarty wobec każdego, chętny do wszelkiej pracy społecznej.

Jest członkiem Wydziału Towarzystwa Tatrzańskiego i w tym charakterze niemało się przyczynił do ułatwienia turystom wędrówek po naszych rodzimych górach.

K. R.


Walery Eljasz.



Dla ludzi.

Wszystko dla ludzi, a nic dla siebie:
Młodości potężne siły,
Gwiazdy, błyszczące na życia niebie,
Kwiaty, zdobiące mogiły.

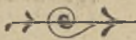
Wiosny uśmiechy, smutek jesieni,
Krwi i gorących łez czara,
Radość, co w oczach twych się promieni,
I w zapał młodzieńcza wiara.

Pieśń, przyodziana w kolory tęczy,
Jak biała górska kaskada,
Albo jak potok, co huczy, jęczy
I w przepaść skalną zapada.

Myśli twych gromy, uczuć wulkany,
Czyny i słowa twe żywe,
Przez los i ludzi zadane rany
I rzadkie chwile szczęśliwe.

Miłość, co nowe życie wciąż budzi,
Łzy na mar dawnych pogrzebie —
Wszystko daj ludziom, wszystko dla ludzi,
A nic, nic nie bierz dla siebie.

I. Nitowski.



Z Watykanu.

Z opowiadań naocznych świadków wstrząsającej chwili wyboru Piusa X wyjmujemy następujące najciekawsze szczegóły:

O godzinie 11-ej minut 40 przed południem w dniu wyboru nadszedł do wojska, skonsygnowanego w dziedzińcu twierdzy św. Anioła, rozkaz, aby udało się z największym pośpiechem na plac św. Piotra. Pędem biegły więc bataliony przez rojące się tłumami ulice Borga, a przybywszy na plac, uszykowały się frontem do bazyliki. Za wojskiem tłocząc się i krzycząc pędziły tłumy publiczności wszystkich stanów, kostiumów i narodowości. Co się w drodze potknęło, to było narażone na ciężkie podeptanie. Wagony kolei elektrycznej musiały stanąć w miejscu. Całe Borgo zlało się w jeden okrzyk: *„Il papa e fatto!"*

Zanim jeszcze nastąpiła uroczysta enuncyacya z loggi zewnętrznej bazyliki św. Piotra, już przekradły się po za bronzową bramę Watykanu głuche wieści o wyniku wyboru.

— Kto wybrany?

— Jakto, nie wiecie? kardynał Sarto!

Inni wołają: „Ależ nie Sarto, tylko Stampa, którego patrona dziś obchodzimy! Przybrał już imię Leona XIV!"

Wreszcie wypada z bronzowej bramy młoda, blada ze wzruszenia zakonnica, rozpina szeroko ramiona i woła trzykrotnie przenikliwym sopranem: „Sarto! Sarto! Sarto!" — dodając: — „Nazwał się już Piusem X!"

Zaledwie linie wojska się wyciągnęły, otwierają się olbrzymie drzwi zewnętrznej loggi, dwóch lokajów rozściela na balustradzie wielki dywan adamaszkowy. Na biało-szkarłatnem polu widać klucze najwyższej władzy papiezkiej. Z głębi loggi wysuwa się zwolna krzyż złoty. Za chwilę widzimy już białą postać, która go dźwiga, za nią ukazuje się orszak prałatów i biskupów, wreszcie staje w obliczu „miasta i świata" z wielką nowiną kardynał.

Odzywa się sygnał rogów, wojsko prezentuje broń, wśród głębokiej ciszy, w której usłyszanoby ducha lecącego, odzywa się z loggi doniosły głos barytonowy, którego dźwięk skandowany uroczyście, słychać na całym placu. Kardynał Macchi wygłasza zwolna, uroczyście hieratyczną formułę:

„Annuntio vobis gaudium magnum: habemus Papam, eminentissimum et reverendissimum dominum Cardinalem Josephum Sarto, qui sibi nomen imposuit Pius Decimus."

Kiedy skończył, ozwał się okrzyk: *„Fuori !Fuori!"* Domyślano się, że Ojciec św. ukaże się zaraz w loggi zewnętrznej. Ale z góry dawali znaki prałaci w stronę kościoła. Zrozumiano wnet, że Papież udzieli błogosławieństwa w bazylice. Cały tłum popchnął się przeto do kościoła, którego główna nawa przepełniła się w jednej chwili. O godzinie 12-ej minut 10 otwarły się drzwi loggi wewnętrznej. Na balustradzie jej rozpięto biały, złotem bramowany kobierzec. Rozlały się poważne dźwięki liturgicznego hymnu z pod wyniosłych stropów sali konsystorza i wpłynęły do nawy kościoła. Znowu pojawia się krzyż w loggi, a za nim ciągną wszyscy kardynałowie, wreszcie zjawia się biała postać; biel szat jej urozmaica tylko czerwona stuła.

To Pius X!

Ze złożonemi na piersiach rękoma wysuwa się naprzód zwolna; nad pięknem obliczem jędrnego starca kłębi się bujna fala siwych, jak śnieg, włosów. Lud pozdrawia go w milczeniu, wywijając kapeluszami i chustkami. Oczy Ojca św. są wilgotne, wzruszenie wewnętrzne podnosi mu gwałtownie piersi, przemaga je widocznie i intonuje pewnym głosem: „*Adjutorium nostrum in nomine Domini!*“ Lud z dołu odpowiada mu dalszemi słowami rytualnej modlitwy. Pius podnosi prawą rękę i powolnym ruchem błogosławi rzeszę, wygłaszając wyrazy:

— *Benedicat vos omnipotens Deus Pater, Filius et Spiritus Sanctus in saecula saeculorum!*

Lud odpowiada grzmiącem „Amen.“

Przez chwilę, jakoby zatopiony w myślach, pozostaje Ojciec św., oparty o balustradę loggi. Nareszcie cofa się, kiedy śpiew liturgiczny znów rozlega się w ścianach kościoła, a na zewnątrz jego zrywają się tysiączne okrzyki i oklaski radośnie wzruszonego tłumu.

O godz. w pół do 5-ej po południu nastąpiło otwarcie konklawe. Kardynałowie z sekretarzami swoimi opuścili „cele“ i udali się z powrotem do swych rezydencyi prywatnych, a mularze i cieśle zakrzątnęli się niezwłocznie około przywrócenia Watykanowi jego zwykłej postaci.

O godz. 6-ej wieczorem Ojciec św. po ceremoniach popołudniowych (włożenie szat pontyfikalnych i mitry papiezkiej, tudzież druga adoracya kardynałów) cofnął się do swych prowizorycznych apartamentów, w których zamieszka do chwili zdjęcia pieczęci z komnat, zajmowanych przez Leona XIII.

K. W.



H. Siemiradzki. **Elegia.**
Obraz ofiarowany przez K. Szklenkiera H. Sienkiewiczowi do Oblęgorka.



Kozak-Polak.

WSPOMNIENIE Z SYBERYI z 1863-go r.

przez *Agatona Gillera*

(Dokończenie.

Okropna to podróż etapami, dla mnie przykrość jej zwiększała moja tęsknota. Trzy dni nic jeść nie mogłem, a jakem spojrzał przed siebie, to mi się z boleści w głowie kręciło. Nie mogłem z wielkiej żałości z Moskalami rozmawiać, widok ich był dla mnie okropny. W nocy płakałem — wszystko mi zobojętniało, wszystko gniewało i szarpało serce. Powoli oswajałem się ze swojem położeniem; chociaż okuty, głodu nie cierpiałem, bo lud moskiewski hojnemi jałmużnami wszystkich aresztantów w partji, a więc i mnie obdarzał.

Z tych jałmużn zebrało się kilkanaście rubli, które z sobą do garnizonu przyniosłem. W garnizonie było kilkudziesięciu Polaków, bardzo się z tego cieszyłem, było pomiędzy nimi kilkunastu za złodziejstwo do wojska posłanych, i ci niegodziwcy skradli mi uzbierane pieniądze, buty i kamizelkę.

Tęsknota długo mnie i w garnizonie nie opuszczała, zacząłem głupieć, i gdy mnie na musztrę wyprowadzili, nie mogłem poruszyć się, nic nie pojmowałem i pojąć nie mogłem, bo tylko o jednem myślałem — o oswobodzeniu się. Szturkali mnie za to, ale to nic nie pomagało, nie mogłem żadnej nawet w wódce pociechy znaleźć. Nareszcie zachorowałem, ogłuchłem, i osłupiałem. Posłali mnie do lazaretu, gdzie mnie jako waryata więzili.

Nic nie pamiętam, jakem spędził trzy miesiące w lazarecie — przypominam tylko sobie ostatnie dni, gdy mi już było lepiej, gdym przychodził do rozumu i do słuchu. Wyleczyli mnie i wypuścili z lazaretu, dziś jednak jeszcze tak dobrze jak dawniej nie słyszę, trzeba głośniej mówić lub śpiewać, żebym usłyszał.

Pędzili mnie znów na musztrę, na wartę, i teraz mi jakoś lżej szło. Nauczyłem się musztry, a chociaż mi źle było, a służba trudna, zacząłem jakoś uspokajać się i przyzwyczajać do swego położenia.

Gdy z garnizonu naznaczali na osiedlenie kozackie nad Amur, gdzie obiecywali nam złote góry i swobodę i Bóg wie co, i ja chciałem pójść z innymi.

Zostawiali nam wolność wyboru, lecz gdy kto nie chciał iść, rozkazywali mu. I mnie naznaczyli i kazali wybierać się w podróż do Syberyi. Powiedzieli przytem, żeby każdy kto chce szukał sobie dziewczyny i żenił się, i dawali mu na wesele pieniędzy. Jak mnie zaczęli namawiać, żeń się Janie, żeń, do Polski nie wrócimy, a cóż tam bez żon robić będziemy? Więc myślę sobie, a może też to i prawda, trzeba się żenić — i zacząłem szukać dziewczyny. Jedna chciała wyjść za mnie, już wszystko było przygotowane, a nazajutrz miał być ślub. Wieczorem przeczytałem kilka modlitw ze Złotego Ołtarzyka, i tak mnie za serce schwyciło, taka mi żałość zrobiła się, żem całą noc nie spał, a myślałem tylko o jutrzejszym ślubie. Ona Rosyanka, dzieci więc moje muszą być rosyjskie, a jeżeli kiedy się wrócę, jakże się tam z taką żoną pokażę? Nie — nie zawiążę sobie losu, nie chcę, aby moje dzieci tak nie chwaliły jak ja Pana Boga — i postanowiłem się nie żenić. Narzeczona już do ślubu przygotowała się, gdym przyszedł do niej powiedzieć, żem się w nocy dobrze namyślił, i że się nie ożenię. Oj dużo tam było płaczu i wyrzekań, alem prędko ztamtąd poszedł, a wkrótce też posadzili nas na wozy i puściła się cała partya żołnierzy do Syberyi. W drodze z Rosyi do Syberyi było nie źle, zarobiłem nawet kilka rubli, grając na kwaterach. Dla tego grania w dwóch miejscach namawiali mnie, żebym się został i nie jechał dalej. Jeden z nich, Syberjak, powiada mi: Syn mój umarł w kopalni, nikt o tem nie wie, ja cię za syna mojego wydam, papiery przerobiemy, a tymczasem, żeby cię nie znaleźli, dobrze ukryję. — Nie wiem sam dla czego nie przyjąłem ich pomocy i pojechałem z partyą dalej.

Przyjechaliśmy tutaj, i zapisali mnie pomiędzy Kozaków jednej z pogranicznych stannic i postawili mnie

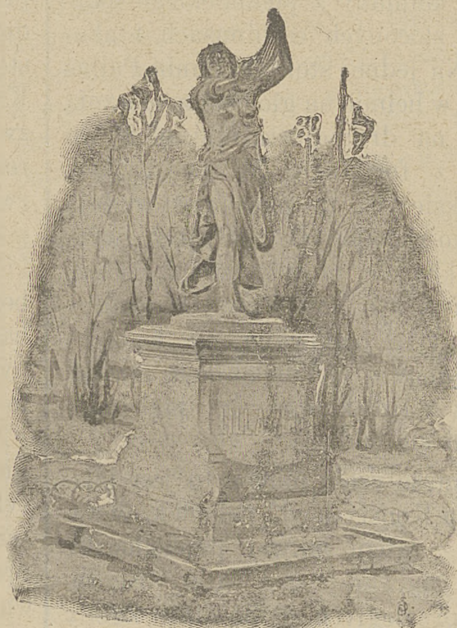
i dwóch moich kolegów na kwaterze u biednego starego kozaka. Miał on dwie córki i wielką biedę w chacie, nie miał nas czem karmić i płakał, a skarżył się, że władza nie miała uwagi na jego biedę i aż trzech ludzi kazała mu karmić. Żal mi się zrobiło starego, powiedziałem też, że mu będę płacić za jadło, i dałem mu trzy ruble. Tak się ucieszył, jak gdyby nigdy pieniędzy nie widział, nazwał mnie swoim synem, a później chciał mi dać jednę z córek swoich za żonę, ale nie chciałem jej wziąść, bo to nie Polki i obie chociaż panny miały już dzieci.

Od służby uwolnili nas na dwa lata, żeby przez ten czas i przyzwyczaić się do nowej ziemi i coś sobie zarobić. W mojej wsi ani myśleć o zarobku, grałem tam kilka razy na weselach, ale wynagrodzili źle, zapraszali na wieczorniki, lecz to mi żadnego dochodu nie przynosiło. Lud nie lubi tutaj jak u nas muzyki i nie znają się na niej. Dał mi bilet naczelnik stannicy, i poszedłem do drugiej wielkiej stannicy w nadziei, że tam co zarobię. Omyliłem się w każdej, gdziem się pokazał, nie tylko że mi wręcz odmawiali, ale patrzeli jeszcze jak na złodzieja.

Nowoprzybyli kozacy, (chwała Bogu, że o Polakach nic złego jeszcze nie słychać), mają opinję złodziei i rozbójników — i na miejscu narobili dużo kradzieży i różnych łotrostw. Dla tego to i mnie jako nowoprzybyłego przyjąć, nawet przenocować nie chcieli, a gdziem się tylko pokazał, wszystko ze stołu sprzątali, a kobiety podejrzliwie szeptały. Mój Boże, jak to przykro kiedy człowieka posądzają o złodziejstwo, kiedy patrzą mu na ręce, pilnują go i wypychają jak złego człowieka. Niepodobna ich było przekonać, że przecież nie każdy jest łotr i złodziej. Zawiedziony, z boleścią serca, nieprzyjęty nawet na nocleg, poszedłem wieczorem do domu. Burjaci nakarmili mnie w swoich jurtach, a gdym szedł do nich, noc mię w drodze zaskoczyła, a psy burjackie napadały na mnie, idąc za mną z pół mili. Rzucę na nie kamieniem, jeszcze się bardziej rzucają, siądę — stają nademną i nieopuszczają mnie, tak się broniąc od nich zbłądziłem i przyszedłem nad jakąś rzeczkę. Ledwo przeszedłem kilka kroków, a tu coś plusnęło przedemną, a potem za mną i z boku. W nocy nie mogłem widzieć, czy to żywa, czy też umarła dusza mnie straszy, ale nie słyszałem, żeby się kto ruszył, a pluskanie w około mnie nie ustawało, przeląkłem się, siadłem, a przeżegnawszy się mówiłem pacierz i odmówiłem „Kto się w opiekę poda Panu swemu.“ Ucichło jakoś i wróciłem do domu, gdzie mi powiedzieli, że na tem miejscu, gdzie pluskało, wszystkich straszy, że tam jest cmentarz burjacki i że się tam na drzewie burjat powiesił, i on tak straszy przechodzących.

Spędziwszy jakiś czas w domu, w wielkim smutku i żałości, wziąłem bilet do miasta, o 10 mil odległego, to jest do Kiachty, spróbować tam losu. W drodze zrobiłem koszyk i sprzedałem go w mieście; wydawszy pieniądze na chleb, które za koszyk mi dali, nie miałem co jeść, a miejsca dostać nie mogłem, bo nikt nie chciał mieć w domu nowoprzybyłego kozaka, każdy myślał, że go okradnę lub zabiję. Trzy dni już nic nie jadłem, poszedłem do lasu po korzenie na koszyk, a siadłszy pod sosną, gorzko płakałem i skarzyłem się na los mój nieszczęśliwy.

Do tak płaczącego nie widziałem



Posąg Lilli Wenedy w Krakowie.
Juliusz Słowacki wyjechał w 1838-ym roku do Paryża, gdzie pisał, a po części wydawał „Lillę Wenedę“, tragedyę formą i duchem ściśle związaną z „Balladyną“. Powyższa rycina przedstawia posąg bohaterki tej powieści „Lilli Wenedy,“ wzniesiony na plantach Krakowskich.

jak podeszła kobieta i dziewczyna z koszykiem, w które grzyby zbierały. Kobieta stanęła przedemną i zapytała „czego ja tak płaczę?“ Opowiedziałem, jej powody i głód trzydniowy. „Toś ty Polak?“ Polak jestem. „A biedniż wy, ciągle was z rodzinnej strony Bóg wie gdzie pędzają. I mąż mój jest Polakiem, dymisjonowany żołnierz, chodź do nas, damy ci przytulisko.“ I poszedłem z nią, przy jej pomocy znalazłem ciesielską robotę i mieszkałem u nich kilka miesięcy. Nie dobrze się mi tam jednak powodziło, ona Sybiraczka, mąż już prawie zapomniał po polsku, a ona okropnie piła i mnie do wódki ciągnęła.

W niedzielę, gdy tam u niej pili, a ja siadłem sobie, żeby w dzień świąteczny, kiedy nie ma tu kościoła, chociaż na dworze pomodlić się, i zacząłem czytać modlitwy z „Złotego Ołtarzyka“ — ona pijana wyrywała mi książkę z ręki i mówiła: czarnoksiężnik z książki czyta, chodź lepiej pić z nami. A póżniej i do złodziejstwa mnie namawiała; — odszedłem więc od nich, nająłem się za stróża nocnego, później za parobka, a teraz służę u Polaka. Dobrze mi się dzieje, mam co zjeść i w co się ubrać, ale cóż, kiedy tak wszystko tu niemiłe. O! żeby to mój Boże Polska oswobodziła się, a nas ztąd wrócili.

Dwa lata wolności jaką nam dali, wkrótce się kończą, — wylazłem dopiero z biedy i znowuż bieda zacznie dokuczać.“

Oto jest własne opowiadanie grajka Janka w Syberji, który mi później nie jedną przyjemną chwilę dał w samotności, tak opowiadaniem jak i swojem prostem od ucha po krakowsku graniem.



Serdeczna troska.

I cóż mi po tem, że mam ja strojny
W marmur i złoto gmach,
Gdy tylu braci bez kąta — chleba —
Gdy tyle oczu — w łzach?
I cóż mi po tem, że lśnią klejnoty
W jedwabiach moich szat,
Gdy tyle nędzy słania się bladej
Wśród brudów, dziur i łat?
I cóż mi po tem, że stół zbytkowny
W kryształach, w srebrach lśni
Gdy biednym jadła na prostej misie
Braknie po kilka dni!
Pono szczęśliwszy ten rolnik biedny
W zacisznej chacie swej,
Jemu z tej chaty — do Boga bliżej!
Jemu na sercu — lżej!
Chętnie — brylanty, pałace złote
Oddam za taki cud,
By znikła nędza z oblicza ziemi,
A z nędzą — łzy i głód!

Ad. Konieczna.



Ona się tak bała...

Nie spała noc całą.

Stojąc przy oknie, przerażonemi oczyma wpatrywała się w ciemnię.

Deszcz dzwonił o szyby i spływał dużemi kroplami, wicher trząsł ramą okna, wył, chychotał jakimś szatańskim śmiechem, to znów jakby potężna orkiestra przebiegał z szaloną szybkością gamy chromatyczne.

Na kominku dopalał się ogień, pogrążając pokój w coraz większym mroku: mistyczny płomyk czerwonej lamp-

ki, znaczył krąg jaśniejszy na suficie i krwawym kolorytem zabarwiał odcinający się od hebanu krzyża, wizerunek Zbawiciela.

Oczy dziewczyny pełne bólu i niemej prośby, zwracały się ku Niemu, jakby ratunku prosząc i zmiłowania.

Jak nieprzytomna, odchodziła, to znów powracała do okna, białe dłonie przytulając do szyby, starała się dojrzeć coś w ciemności.

Ona się tak bała!...

Osunęła się na klęcznik. Nie widzi już ani krzyża, ani mrugającego płomyka lampki. Wśród ciemnej nocy, majaczeją wierzby nadrzeczne. Chylą się ku ziemi, bijąc pokłon jakiejś potędze, a w olbrzymiem korycie, przewala się rzeka, jak szare, ślizgie cielsko potwora.

Na wzburzonej powierzchni mocuje się z wichrem biały żagiel, rozkołysane fale, podstępnie wpełzają do łódki.

Z szumem wichru i pluskiem fal, miesza się ochrypłym głosem pijaka nucona piosenka.

To przewoźnik urąga nawałnicy.

Na łodzi, prócz niego, widać drugą postać. To on, ten kochany. Myśl jego biegnie ku niej.... jest tego pewną.

Nagle, z krzykiem rozpaczy, dziewczyna zrywa się i twarz śmiertelnie bladą w dłoniach ukrywa.

Widziała najwyraźniej przewróconą łódkę i *jego*, pogrążającego się w ciemne nurty.

. . . .

Nad ranem wiatr się uspokoił. Zimowe słońce leniwie zabierało się do wstania, kiedy przed dworem zaturkotała bryczka.

Blada jak widmo dziewczyna, stanęła w drzwiach otwartych i drżące dłonie podała przybyłemu.

Zmęczone łzami i bezsennością oczy, zatrzymuje na jego twarzy.

— Czemu pani nie śpi, panno Wiciu?

Na ustach dziewczyny drzy odpowiedź:

— O ciebie się bałam... ale głośno nie ma odwagi tego powiedzieć.

Uśmiechnął się przyjaźnie i rękę Wici do ust przycisnął.

— Jak to dobrze, że pani nie śpi... Mam coś ważnego powiedzieć, mojej przyjaciółce...

Gorący rumieniec przepłynął po twarzy dziewczyny. Ona już wie... domyśla się...

— Panno Wiciu, niechże mi pani pierwsza powinszuje... Takim szczęśliwy! U państwa Lipskich, była panna Marya, tańczyłem z nią noc całą, a przed godziną, oświadczyłem się i zostałem przyjęty.

Wicia uścisnęła mu rękę i bez słowa zniknęła na zakręcie schodów.

. . . .

Złotawy promyk słońca, zajrzał w oczy stojącej przy oknie dziewczynie. Zmrużyła zaczerwienione powieki i cofnęła się w głąb pokoju.

Osunęła się na klęcznik. Łzy płynęły po bladej twarzy...

Nagle wybuchnęła szalonym śmiechem.

I czego się ona tak bała...

Stanisław Ochocki.



Wycieczka do Aten.

Napisał ***Henryk Sienkiewicz***

(Ciąg dalszy.)

Wedle portyku wznoszą się dwie potężne kolumny z pentelickiego marmuru o złoconych eschinusach i abakach. Na jednej stoi olbrzymia Pallas Athene, w hełmie na głowie i z włócznią w ręku, na drugiej równie olbrzymi Apollo z formingą. W nocy, przy blasku księżyca, te marmury wydają się jasno-zielone, tak czarująco leciuchne, jakby nie ciężyły ziemi. Może specyalista budowniczy zarzuciłby to i owo tym budowlom, ale bądź co bądź, stanowią one dekoracyę miasta, jednę z najpiękniejszych, jakie zdarzyło mi się widzieć.

Bogatszą część miasta to jest bliższą placu Konstytucyi i pałacu królewskiego — zatem bulwar panhelleński, bulwar uniwersytecki, ulicę Stadin i wiele przyległych, aż do placu Zgody — zbudowali bogacze greccy, zamieszkujący już to Fanar stambulski, już to Odessę, Marsylię i inne portowe miasta. Ludzie ci, przy wrodzonej Grekom zdolności do handlu, dorobili się milionowych fortun, ale— należy im oddać tę sprawiedliwość — nie zaprzedali ducha greckiego. Odeski lub marsylski wekslarz, który mógł uznać się za potomka Milcyjadesa i powołać na Maratonn, Leonidasa — i powołać na Termopile, Temistoklesa — i powołać na Salaminę, Fidyasza lub Apellasa — i powołać na ruiny Akropolu — zyskiwać to, czego za żadne w świecie pieniądze kupić nie można. I oto k'woli temu uznaniu, k'woli tej sławnej przeszłości, płynęły do Attyki miliony ze wszystkich krajów; wśród dzikich wąwozów powstawały koleje żelazne i bite drogi; w miastach, zamieszkałych przez dzikich palikarów, zakładano szkoły, a na ruinach starych Aten — nowe Ateny.

Kupcy i handlarze dzisiejsi osiadli przeważnie wzdłuż ulicy Hermesa, który, jak wiadomo, jeszcze za czasów Zeusa był patronem kupiectwa. Wogóle cała dolna część miasta, ku Garze i Ceramikowi, jest pod jego patronatem Tu leży bazar, przypominający inne wschodnie bazary; tu roi się ludność ruchliwa ogromnie, giestykulująca i mówiąca tak głośno, jakby pragnęła odurzyć przechodnia. Życie i handel odbywa się na ulicach, jak wszędzie w południowych miastach; wieczorem, gdy skończy się upał dzienny, ruch największy. Sklepy otwarte do późna. Płomieniste kiście gazu oświecają składy towarów, przepysznych owoców i kwiatów.

Od godziny jednak czwartej nietylko na ulicy Hermesa i w części handlowej miasta roją się tłumy; ale pełno ich i w bogatych dzielnicach. Odof Stadin, przy której mieszkałem, jest modnem miejscem przechadzek, bo w porze przedpołudniowej, na chodnikach, trudno się było przecisnąć, a środkiem postępowały powozy jedne za drugiemi. Kobiet mniej tu wszakże, niż mężczyzn, zwłaszcza między pieszymy. Może to resztki wpływów wschodnich, a może zwyczaj zamykania kobiet po domach powstał i utrwalił się za czasów tureckich, gdy młodej kobiecie niezbyt było bezpiecznie narzucać się oczom bimbaszich i bejów? Mało tu zresztą pięknych twarzy między kobietami. Typy to raczej ormiańskie, niż greckie. Czasy Fryne i Lais są dalekie i żaden areopag nie uniewinniłby dzisiejszej greczynki tylko k'woli jej wdziękom. Czytałem, że mieszkanki Megary i dawnej Lakonii, oraz niektórych wysp, przechowały dawny typ helleńskiej piękności, ale w Megarze tego nie dostrzegłem, a nad brzegami Eurotu, ni na wyspach, nie byłem.

Za to między mężczyznami widzi się wiele postaci, zarazem pięknych i dzikich. Zapewne, że jasnowłosy Achilles inaczej musiał wyglądać; ale tak mógł wyglądać Kanaris. Wielu też nosi jeszcze kostyum albański, składający się z pustanelli, to jest białej, sięgającej prawie do kolan spódniczki, fezu i kaftana, zahaftowanego zupełnie jedwabiem lub złotem. Biodra ich otacza pas, za który zatykali dawniej cały arsenał handżarów i pistoletów, a w którym noszą dziś chustkę od nosa. Jednakże, mimo tej chustki, która jest niezaprzeczonym, w stosunku do dawniejszych czasów, postępem, są to zresztą zawzięci konserwatyści i przeciwnicy wpływów zachodnich. To też tak ubranych spotyka się przeważnie starców. Jednakże na wzór owych palikarów poprzybierano całe oddziały wojska i to nadaje miastu odrębny od innych miast pozór.

Grecy, mieszkający po wsiach, mi-

mo rozbójniczych instynktów, które jakoby nie wszędy wygasły, są podobno uczciwi, pracowici i wierni zobowiązaniom; mieszkańcy miast mają ustaloną w całym świecie wcale nieszczególną opinię. Bawiąc między nimi niespełna miesiąc, sądzić o tem z własnych spostrzeżeń nie mogę. Ale nawet tak krótki pobyt wystarcza, aby zauważyć, że w żadnem innem mieście, ni właściciele gospód, ni przewodnicy, ni wynajmujący konie lub powozy, ni wekslarze, nie mówią tak dużo o swej uczciwości, jak w Atenach. Wydaje się to trochę podejrzane.

Nowsi podróżnicy, którzy albo spędzili dłuższy czas w Grecyi, albo którzy po krótszym mają odwagę wypowiadać stanowcze zdanie, wypowiadają o Grekach wogóle sąd ujemny.

Zmarły niedawno Edmund About napisał o Grecyi płytką, ale ciekawą i pełną dowcipnych spostrzeżeń książkę. Jednakże złośliwy „wnuk Voltaire'a'', jak go nazywano, mimo, iż stara się być bezstronnym, ocenia zbyt szydersko potomków dawnego ateńskiego Demosu. Podług niego, Grecy dzisiejsi pochopnością do kłamstwa mogliby zawstydzić swego praojca Ulisesa, jego opiekunkę Pallas Atenę i dawniejszych kreteńczyków, którzy podług Epimenidesa tak celowali w tej sztuce. Są przytem chciwi nad wszelki wyraz; ludzi innych narodowości znoszą o tyle, o ile mogą ich obdzierać. Pod względem odwagi, Kanaris, według Abouta, był wyjątkiem i dlatego o nim tak głośno, Grecy zaś wogóle są tchórzami. About posuwa się nawet tak daleko, iż twierdzi, że zawsze nimi byli, nawet za czasów oblężenia Troi. Brak im wreszcie zupełnie uczuć rycerskich, poczucia dobrej sprawy, sprawiedliwości, natomiast mają ślepą cześć dla wszelkiej siły — wraz z odpowiednią pogardą dla wszelkiej niemocy, ubóstwa i niedoli.

About między tysiącznemi anegdotami, przytacza jednę, którą niech i mnie będzie wolno za nim powtórzyć, jako obchodzącą nas bliżej.

Po burzach, które wstrząsnęły monarchią habsburską w 1848 r., garstka Polaków osiadła w Atenach. Ludzie ci marli z głodu i febry, bo klimat Aten jest przy dłuższym pobycie dla cudzoziemców szkodliwy. Jednak i te szczupłe środki, jakich im dostarczano, były dla Greków solą w oku. Znieważali też owych rozbitków na każdym kroku. Wyzywani na pojedynki, trzymali się dzielnie i nie stawali na placu. Ale pewnego razu zdarzył się w Atenach pożar, który groził całemu miastu. Grecy zbiegli się zewsząd, by patrzeć na ogień, giestykulować i wrzeszczeć — Polacy (proszę pamiętać, że cytuję słowa About'a(rzucili się w środek płomieni i ugasili je z największem narażeniem życia.

A teraz niech kto zgadnie, jaka spotkała ich nagroda?

Oto nakazano im opuścić Grecyę!

Postąpiono tak dlatego, że po owym uczynku stali się głośni kosztem Greków, że wieść o ich uczynku, a zatem i o ich pobycie w Atenach, rozeszła się po całej Europie, że zatem mogła ściągnąć uwagę, a może i jaką dyplomatyczną notę nieprzychylnego wówczas wielce dla rozbitków austryackiego rządu.

I to była wystarczająca przyczyna.

Jeśli słowa Abouta są prawdziwe — a nie był on tak dalece naszym przyjacielem, aby aż miał wymyślać anegdoty na naszą większą chwałę — to należy przyznać, że potomkowie wynalazcy logiki nie przestali wprawdzie być logicznymi, jak sam Stagiryta, ale tradycye Arystydesa zginęły między nimi nazawsze.

Jednakże w tem, co mówi wspomniany autor, i inni nowsi o Grekach, musi być niewątpliwie wiele przesady, a może więcej jeszcze nieporozumienia. Przedewszystkiem, każdy taki podróżnik przynosi ze sobą gotową miarę etyczną, bardzo rozległą, bo będącą wypływem cywilizacyi zachodniej i jej wyrobionej kultury moralnej. Owóż taką skalą mierzą społeczeństwo, które dopiero przed niedawnym czasem wydostało się z niewoli, istotnie sromotnej i upadlającej, a mierzą tem bezwzględniej, że chodzi o obcych, nie o swoich. Zapominają także i o tem, że jak naprzykład pojęcia honoru i rycerskości były obce światu starożytnemu, tak samo może istnieć cała sfera pojęć moralnych, obcych ludom wschodnim; że te ludy, zwłaszcza podbite, jak byli Grecy, nie miały ściśle mówiąc, przez długi czas żadnych pojęć, a rządziły się, bo się musiały rządzić, jeno zwierzęcym, samozachowawczym instynktem. Instynkt ów był dla nich miarodajnym i rozstrzygał zarówno w kwestyach etyki, jak logiki.

Dzikie ludy są wszędzie jednakowe. Kiedy raz misyonarz zażądał od nawracanego przez się murzyna, aby mu dał przykład, co wedle jego pojęć jest złem, dziki zamyślił się i odrzekł:

— Złem jest, jeśli mi kto naprzykład żonę ukradnie.

— Doskonale! — odrzekł ucieszony misyonarz. — A dajże mi teraz przykład dobrego.

Dziki nie zawahał się ani chwili:

— A dobrem jest, jeśli ja komu żonę ukradnę.

Oto jest logika ludów dzikich, zdziczałych lub dziczejących.

Jest ona także dość powszechną na wschodzie.

Ale dajmy pokój Grekom. Starą anegdotę Peschla przytoczyłem dlatego, że logikę w niej zawartą, słyszymy i w życiu codziennem i publicznem. Grzmi ona coraz powszechniej, rozlega się w łamach dzienników, wzbiera jak fala, zatapia codzień różnicę między złem i dobrem, między sprawiedliwością i niesprawiedliwością, paraliżuje zdolność moralnego oryentowania się na manowcach publiki, niszczy i sprowadza do zupełnego zaniku zmysł moralny opinii publicznej, która w końcu nie wie, lub nie chce wiedzieć, za kim ma się ująć a kogo napiętnować. Dzikim dzisiejszy świat nie jest, ale być może, że pod pewnym względem dziczeje.

About pisał swoją książkę trzydzieści lat temu. Obecne greckie pokolenie nie postąpiłoby już tak, jak jego współcześni. Nie postąpiłoby tak, bo się cywilizuje, w dobrem znaczeniu tego słowa, bo jako odrodzone, jest młode, pełne entuzyazmu, więc wyrabia w sobie i doskonali stopniowo wszystkie władze ducha, a zatem między innemi i zmysł moralny. Równowaga tu jeszcze nie popsuta. Oni właśnie przestają być dzikimi, nie zaś dziczeją; dlatego mają już wstyd w oczach.

Mają, prócz tego, jeszcze jeden wielki przymiot, którego im nikt nie odmawia, to jest patryotyzm.

Patryotyzm ten opiera się na miłości do dawnej Hellady, równie jak i do dzisiejszej.

Mniejsza z tem, że nić tradycyi nawiązana została nieco sztucznie; mniejsza z tem, iż uczeni twierdzą, że Grecy dzisiejsi mają w żyłach zaledwie małą cząstkę krwi dawnych anaktów helleńskich, a natomiast są przeważnie mieszaniną dawnych niewolników różnych narodowości, Albańczyków i Słowian. Oni, jak są spadkobiercami ziemi, tak chcą być i są spadkobiercami tradycyi. Ztąd ich patryotyzm nie jest jako ta roślina, która się tylko powierzchni ziemi czepia, którą zatem pierwszy lepszy wiatr wyrwać może, ale wrósł w grunt i posiada siłę niewzruszoną. Posiada ją właśnie dlatego, że jest i historycznym i chce iść z postępem w przyszłość, ale wie,, że racya jego bytu i źródło wiecznie bijące — na Akropolu. Więc pójdźmy i my na Akropol, bo to jest tego rodzaju źródło, że każdy z nas może w niem zaczerpnąć, jeśli już nie czego innego, to przynajmniej wrażeń artystycznych.

Cała równina attycka jest tak mało rozległa, a wszystko tak bliskie, że podróżni ze statków, zatrzymujących się w Pireus tylko sześć godzin, mają czas tu przyjechać, obejrzyć

św. skałę, Olimpion, Tezeion, ruiny objęte nowem miastem, starożytny cmentarz Hagia Triada, muzea — i wrócić na godzinę do odjazdu. Tembardziej miałem więc czas i możność, nie do naukowych badań, ale do dokładnego oglądania, bawiąc przeszło trzy tygodnie w samych Atenach. Ale to pewna, że łatwiej jest pójść z Placu Konstytucyjnego na Akropol, niż go opisać. Przytem praca moja idzie inną drogą; nie jestem hellenistą, więc chciałbym raczej zdać tylko sprawę z wrażeń, nie zaś rozprawiać szczegółowo o zabytkach, o których popisano tomy całe — owoce mozolnych i długoletnich trudów.

Idzie się wężowatą drogą, pod górę, zarośniętą agawami i kaktusami. Przed sobą i nad sobą widzisz tylko olbrzymi mur, stary, pokruszony, który częściowo tylko jest zabytkiem helleńskim, częściowo zaś wznosili go łacinnicy, lub nawet Turcy. Z poza zrębu wyglądają trójkątne szczyty i wydłużone przecznice świątyń. Pusto było, gdym szedł; naokoło ani żywej duszy, bo godzina była południowa i upał, pomimo, iż poczęły się już pierwsze dnie listopada. W bocznej bramie drzemie stary weteran, mijasz go, przechodzisz obok domu, przy którym nagromadzono stosy marmurowych ołamków. Droga zakręca się raz jeszcze, wchodzisz schodami na górę i jesteś w Propyleach, przez które obejmujesz okiem całe szczytowe płaskowzgórze. Pierwsze wrażenie: ruina! ruina! cisza, śmierć! Niektóre zewnętrzne doryckie i wewnętrzne jońskie kolumny Propyleów, porozsuwane, trzymają się tylko ciężarem głazów; ściany strzaskane, wyszczerbione, przeświecające na wylot, poobłamywane; nigdzie po za tą sławną bramą łokcia swobodnego gruntu. Cała przestrzeń płaskowzgórza zarzucona i zawalona trzonami kolumn, zrębami przecznic, fryzów, obłamami metopów, kapiteli, kostkowemi głazami ścian. Wszystko to, prócz kilku świątyń, narzucone jedno na drugie, obsuwające się, zwieszone, pochyłe, spiętrzone, leżące w dzikim bezładzie, o którym nawet forum rzymskie nie może dać pojęcia. Podróżnikowi przychodzi do głowy, że się tu odbyła jakaś straszliwa walka olbrzymów, lub olbrzymich sił, od których góra się trzęsła, pękały mury, aż wreszcie runęło wszystko i pozostało tylko zniszczenie.

Więc pierwszem wrażeniem, jakie się otrzymuje po przejściu Propylei, — jest wrażenie katastrofy.

(Dokończenie nastąpi)



Wiadomości.

— **Z powodu trudności technicznych** odłożyć musieliśmy zapowiedziane w numerze 32-im artykuły p. t. „Na Mazowszu pruskiem" do następnych numerow „Pracy."

— **Piękny portret w kolorach** Ojca św. Piusa X, dołączymy jako premium do „Pracy" jeszcze w bieżącem półroczu. Portret będzie wykonany pod każdym względem artystycznie i przewyższy wartość kwartalnej przedpłaty na „Pracę." Niech więc korzystają z tej sposobności nowi abonenci jak najwięcej i niechaj zapisują sobie „Pracę" na miesiące sierpień i wrzesień bezzwłocznie na poczcie i w naszej ekspedycyi w Poznaniu. Kwity pocztowe na miesiące sierpień i wrzesień są zamieszczone na osobnej stronie pod opaską. Przedpłata na te dwa miesiące wynosi tylko 84 fen.

— **Iluminacya** w dniu koronacyi Piusa X w grodzie naszym, mianowicie w dzielnicach przeważnie przez ludność polską zamieszkałych, była wspaniałą. Nasi poczciwi Poznańczycy oświetlili okna swych mieszkań na cześć Ojca św., Piusa X, nie tylko we frontowych kamienicach, ale także w tylnych domach w podwórzach. Fakt ten świadczy najwymowniej o wielkiem przywiązaniu naszem do Kościoła i wiary. W wielu oknach były wśród jarzącego światła wystawione portrety nowego Papieża i inne emblemata religijne, a w niektórych domach udekorowano wspaniale nie tylko okna, ale także balkony. Kamienica wydawnictwa „Pracy" cała kąpała się w rzęsistem świetle pod wywieszonym z poddasza sztandarem papiezkim.

Iluminacya wypadłaby o wiele świetniej, gdyby nie było między nami wielu „obojętnych" i „opieszałych." I tak prócz licznych, pogrążonych w egipskiej ciemności okien mieszkań Polaków, zamieszkałych na pryncypalnych ulicach, nie były między innemi prawie wcale oświetlone okna siedzib i kantorów naszych instytucyi, banków i t. p., mianowicie „Westy", Banku przemysłowców, Banku „Kwilecki, Potocki i Sp." i t. d. Bazar nie był także oświetlony z wyjątkiem kilku małych okienek na poddaszu; mieszka

tam z pewnością jaki podrzędny oficyalista bazarowy, może stróż, który w każdym razie spełnił obowiązek Polaka-katolika, obowiązek, o którym zapomniała dyrekcya Bazaru zupełnie.

Wyspa tumska cała kąpała się w świetle, także plebanie i mieszkania księży we wszystkich parafiach rzęsisto były oświetlone. Za to katedra pogrążona była w egipskich ciemnościach. Kontrast wielki stanowił sąsiedni kościołek Najświętszej Maryi Panny pięknie i gustownie oświetlony. Kościół św. Marcina był także rzęsiście iluminowany a na schodach u wejścia wprost ulicy Wilhelmowskiej widniał z dala wśród zieleni drzew wielki transparent Piusa X.

Z przedmieść Jerzyce najlepiej się spisały; niektóre ulice, mianowicie Berlińska i Kościelna, kąpały się w morzu światła.

— **Przestroga.** W kilku gazetach zamieszczone było ogłoszenie, wzywające lekarza i dentystę Polaka do osiedlenia się za pośrednictwem „Dziennika Bydgoskiego.“

„Gazeta Gdańska“, która również powyższą wiadomość umieściła, przestrzega wszystkich w tej sprawie interesowanych, pisząc, iż pewien pan, który się naocznie o stanie rzeczy przekonał, donosi jej, że o miejscu takiem nie na mowy i szkoda kosztów podróży.

— **Towarzystwo Młodzieży kupieckiej** w Poznaniu urządza na rzecz Szkoły Handlowej zabawę latową w niedzielę dnia 16-go sierpnia r. b. w parku Wiktoryi. Pomiędzy innemi zwracamy uprzejmie uwagę na wykwintny program koncertu smyczkowego, który wykona orkiestra złożona z 20 muzyków. Odegrane będą uwertury z oper „Halka“, „Stradela“, „Raymont“, fantazye z oper „Carmen“, „Faust“ (Małgorzata) mazurki Chopina, wiązanka i t. d.

Początek o godz. 3. Kremzery kursować będą pomiędzy bramą Dembińską a parkiem Wiktoryi.

Zaproszenia wysyłamy tylko do rodzin; atoli panowie młodzi i samotni mogą być przez członków na zabawę wprowadzeni. Mamy nadzieję, że tak jak w poprzednich latach Szanowna Publiczność bacząc na cel zabawy, nie poskąpi naszemu Towarzystwu i tym razem swej życzliwości.

Zarząd Tow. Młodzieży kupieckiej.

— **Towarzystwo Przemysłowców** na Wildzie urządza w niedzielę, dnia 16-go sierpnia r. b. wielki staropolski wieniec w ogrodzie p. Przybylskiego w St. Domingo. Ze względu na obfity i urozmaicony program, mamy nadzieję, że Szan. Publiczność licznie pospieszy do ogrodu St. Domingo i da w tem dowód poparcia swojskich Towarzystw. Z programu wymienić należy oddanie wieńca dziedzicowi przy śpiewach i tańcach narodowych i tabor cygański z niedźwiedziem. Dzieci zabawiać będzie błazen włoski w oryginalnych swych produkcyach. Bliższe szczegóły ogłaszają afisze.

— **Wieniec.** Zanik wznawiania obyczai przodków naszych, tudzież sympatyczne przyjęcie wieńca naszego zeszłorocznego, powodują nas do urządzenia Wieńca także i w tym roku.

Takowy odbędzie się w niedzielę, dnia 23-go b. m. w ogrodzie p. Sobierajskiego (Vila Flora) z współudziałem około 100 osób. Oprócz śpiewów chórowych i solowych, które ćwiczy p. Poniecki, dyrygent „Halki“, wykonane będą także tańce figurowe, któremi kieruje znany w całem Księztwie metr tańca p. Mikołajczak. *Cykl rozmaitości:* Polonez w figury, Mazur w 16 par, Krakowiak w 16 par, Taniec dzieci, — Czardasz taniec solowy. Wielki taniec obozowy wykona banda cyganów, kapela cygańska, cyganie, śpiewacy, cyganki, wróżki, śpiewaczki, wódz cyganów z swym niedźwiedziem, karusel wiejski, oryginalna kapela wiejska, kwiaciarki. *Ocean zmienności:* Żydzi handlarze, żydzi śpiewacy, żydówki tancerki i śpiewaczki. Początek „dożynków“ o godz. 5.

Zapraszając na Wieniec ten Szanowną Publiczność Poznania i okolicy, wszystkich gospodarzy, mamy nadzieję, że Publiczność nasza poprze te usiłowania i podąży w niedzielę tłumnie do „Vili Flory.“

Polskiej pieśni cześć!

Zarząd Tow. Śpiewu „Halka“ w Jeżycach.
Antoni Nowak, prezes. Nikodem Nowak, sekretarz.

— **Poniec.** Pan F. Pepiński, rząd ca z Janiszewa, uzyskał patent na wynaleziony przez siebie przyrząd do wiązania siana, słomy i zboża na wozach żniwnych.

Fabrykacyę tegoż praktycznego przyrządu zamierza pan Pepiński oddać jednej z fabryk machin rolniczych w Poznaniu lub we Wrocławiu.

Zmarli.

† S. p. *dr. Franciszek Ksawery Kasparek*, profesor filozofii, prawa i prawa międzynarodowego na uniwersytecie Jagiellońskim w dniu 4-go b. m. w Krakowie. Zmarły należał do najpłodniejszych naszych pisarzy prawniczych.

† Ś. p. *Małgorzata Aubert* dnia 5-go b. m. w 24-ym roku życia w Poznaniu.

† Ś. p. *dr. Ignacy Maj*, lekarz praktyczny, przeżywszy lat 69 dnia 8-go b. m. w Starogrodzie (Prusy Zach.)

† Ś. p. *Hipolit Janowski*, nadleśniczy kórnicki, dnia 8-go b. m.

Wiadomości literackie.

— **Polskie wydawnictwo obrazkowe.** Miło nam podzielić się z Czytelnikami wiadomością o powstaniu u nas przedsiębiorstwa, którego brak dotkliwie był odczuwany i którego potrzebę niejednokrotnie w prasie i na zebraniach publicznych zaznaczono. Zbyteczną chyba byłoby rzeczą rozprawiać dziś nad tem, jak wielkie znaczenie ma obrazek w wychowywaniu i nauczaniu dzieci. Niemniejsza z pewnością jego rola w krzewieniu oświaty wśród warstw nieoświeconych. Tu bowiem obrazek nietylko bawi, nietylko sprawia estetyczną przyjemność, nietylko ilustruje treść, ale sam w sobie budząc zaciekawienie, bywa nieraz podnietą do zapoznania się z tekstem. Widz staje się czytelnikiem. Ztąd w wielu krajach systematycznie używają obrazka do rozpowszechnienia i popularyzowania wiedzy i uszlachetnienia uczuć. Gdzie bowiem żywe nie dosięgnie słowo, gdzie nie dotrze druk, tam często wciśnie się obrazek i utoruje drogę książce. A jeśli nad to szereg obrazków ułożony jest z planem i zaopatrzony w tekst stósowny, to korzyść z niego tem większa. Zadanie tak pojęte, pragnie spełnić „polskie wydawnictwo obrazkowe.“ Wydawnictwo to, na wielką pomyślane skalę, obejmie podług z góry ułożonego planu rozmaite działy umiejętne, moralne i praktyczne, ujęte w serye następujące: Historya biblijna Stary i Nowy Testament, Żywoty Świętych, Historya polska, Wodzowie, Znakomici i zasłużeni mężowie i niewiasty, Powiastki moralne, Obrazki z życia zwierząt i roślin, Zboża i owoce, Zwierzęta użyteczne i szkodliwe, Rośliny użyteczne i szkodliwe, Narzędzia rolnicze, Zjawiska przyrody, Obrazki geograficzne, Polskie pomniki historyczne, Dzieła sztuki, Wojsko polskie i t. d.

Każda serya obejmie całość przedmiotu. Tak n. p. serya: Królowie polscy da szereg żywotów od Mieszka do Stanisława Augusta, z każdej seryi koleją wychodzić będą arkusze; na każdym z nich 12 obrazów i tekst; te 22 obrazków tworzą pewną całość, będącą jednem ogniwem seryi. Wydawnictwo takie, aby mogło skutecznie spełniać zadanie swe, musi oczywiście taniością swą stać się przystępnem dla najuboższej ludności. Uwzględniając to, wydawca oznaczył cenę arkusza z 12 kolorowymi obrazkami na 6 fenigów t. j. cenę, która tylko przy masowym zbycie pokryć może koszta nakładu. O zapewnieniu tego zbytu postara się niewątpliwie ogół społeczeństwa, który powinien też gorąco poprzeć nowe przedsiębiorstwo, tem więcej, że obrazki dotychczas w obieg puszczone jak n. p. Żywot Jezusa Chrystusa, Święty Wojciech, Mieszko I, uzasadniają nadzieję istotnie artystycznego wykonania. Są one dziełami lwowskiego zaszczytnie znanego malarza p. Winterowskiego, a druk wykonany również we Lwowie. Poparcie wydawnictwa jest i z tego względu potrzebne i wskazane, że — pomijając stronę dydaktyczną i pedagogiczną, może ono artystyczną swą wartością znakomicie podnieść zmysł estetyczny najobszerniejszych warstw, może stworzyć nieistniejący dotąd we Lwowie rodzaj przemysłu drukarskiego, a tem samem wyprzeć z czasem produkty obce, któremi na tem polu umyślnie spekulanci niemieccy kraj nasz zalewają. Główny skład na Niemcy Polskiego Wydawnictwa obrazkowego w księgarni i składzie papieru Chrzanowskiego i Kucnera w Poznaniu (Posen) ul. Wilhelmowska Nr. 17 (naprzeciw kościoła św. Marcina.)

— Co dopiero wyszła z druku książeczka pamiątkowa pod tyt. **„Ojciec św. Leon XIII i jego następca Ojciec św Pius X“.**

Zawiera ona dokładny życiorys wiekopomnej pamięci Papieża Leona XIII, opis jego śmierci i pogrzebu, dalej opis konklawe i wyboru nowego Papieża Piusa X, życiorys Piusa X. oraz list pasterski naszego Najprzewieleb. Ks. Arcypasterza Floryana, napisany z okazyi zgonu śp. Leona XIII i wyboru Ojca św. Piusa X.

Książeczka ta, nader zajmująco napisana, obejmuje przeszło 100 stron druku i portrety Leona XIII oraz Piusa X — cena

zaś jej nader jest niską, wynosi bowiem tylko 20 fen., z przesyłką 25 fen. Przy odbiorze większej ilości na każde 10 egz. 1 egz. w dodatku i przesyłka franko. Stanowi ona nie tylko wielką nowość, ale przedewszystkiem ważną pamiątkę dla nas wszystkich, którzyśmy żyli pod panowaniem Leona XIII, doznali Jego ojcowskiej opieki i miłości, tylekrotnie Jego słów słuchali i przeżyli chwile Jego ostatnie.

Książeczka ta powinna jako cenna pamiątka znajdować się w każdym katolickim i polskim domu jako wspomnienie po Ojcu naszym, który tyle serca nam zwłaszcza uciśnionym stale zawsze okazywał.

Mimo zaś, że wybór nowego Papieża dopiero przed paru dniami nastąpił, umieszczone są w tej książce wszystkie szczegóły z życia nowego Papieża. Dla tego polecamy ją gorąco wszystkim naszym czytelnikom. Nabywać ją można we wszystkich księgarniach — skład główny w Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu (Posen).

Od Redakcyi.

N. N. 112. — W tej sprawie udzieli Panu informacyi odnośny zakład dla akuszerek w Poznaniu. Adres jest taki: „Prov. Hebammen-Lehr-Anstalt, Posen, Feldstrasse nr. 36.“ Dyrektorem zakładu jest Niemiec o polskiem nazwisku, radzca medycynalny dr. Toporski. Na osiem zapytań tylko tyle odpowiedzieć możemy, że są także osobne kursy dla akuszerek Polek wyłącznie w języku polskim. Pisać po wskazówki trzeba naturalnie po niemiecku. Egzamina nie są trudne, a czy i w tym zakładzie germanizacya i hakatyzm kwitną, o tem nie wiemy.

Panu Marcinowi A. w Catenbergu. — Nabyć Pan możesz w księgarni A. Cybulskiego w Poznaniu. „Męczennica w koronie“ wyjdzie w osobnej odbitce za kilka tygodni, cenę w swoim czasie ogłosimy. „Pracę“ na okaz względnie agitacyę wysłaliśmy.

Jednej z wielu życzliwych Czytelniczek. — Bardzo nas ucieszyły wyrazy wdzięczności za tak piękny kolorowy obraz ks. Poniatowskiego Zapowiedziane dalsze dodatki w swoim czasie dołączymy, przyczem ile możności zastosujemy się do miłego dla nas życzenia grona pięknych naszych Czytelniczek.

Zarządom Towarzystw, które urządziły zabawę dnia 9-go b m. w ogrodzie Villa Flora. — Notatka o zapowiedzianej zabawie doszła nas zapóźno już po wydrukowaniu numeru na dzień 9-go b. m., zatem zamieścić nie mogliśmy.

Panu Józefowi N. w M. — Ustny kontrakt najmu jest na rok jeden ważny, więc jeżeli Pan wynająłeś mieszkanie do 1-go kwietnia 1901 r., tobyś Pan musiał komorne do tego czasu zapłacić lub innego lokatora w miejsce swoje stawić, a gdyby tego lokatora gospodarz przyjąć nie chciał, to Panu wolno komorne 3 miesiące naprzód wypowiedzieć i się wyprowadzić po upływie tychże 3 miesięcy.

Rozmaitości.

Nieczytelne rękopisy. Pewien redaktor angielski, który, bez wątpienia, jak jego koledzy, umartwiał się często nieczytelnemi manuskryptami, w przystępie osobliwego humoru, taką napisał satyrę do swoich korespondentów:

„Strzeżcie się panowie używać do pisania pióra i atramentu, skoro tylko możecie użyć czego innego, bo pismo mogłoby być zbyt wyraźne, a wtedy nie zwracałoby na siebie uwagi redaktora i zecera. Jeżeli zaś panowie przypadkiem się pofatygujecie pisać piórem i atramentem, wystrzegajcie się używać bibuły przy wertowaniu papieru, bo to już dawno wyszło ze zwyczaju.

„Jeśli zrobicie plamę, możecie ją usunąć za pomocą języka, żeby wam się w ten sposób udało jaknajbardziej ją rozmazać. Pochlebia to bowiem inteligentnemu zecerowi, że jest zniewolony odgadnąć z jakie 20 słów, które w ten sposób stały się nieczytelnemi. Sami widzieliśmy zecerów, jak się męczyli przez pół godziny, żeby takie miejsca przeczytać; przez cały ten czas klęli jak majtkowie, co u nich oznacza jaknajlepszy humor. Nie używajcie nigdy interpunkcyi; nam to przyjemność sprawia, że jesteśmy zniewoleni odgadywać, co panowie właściwie chcieli.

„Zbyteczną jest rzeczą pisać wielkie litery początkowe, bo wtedy możemy przynajmniej wedle własnego widzimisię dać interpunkcyę. Zupełnie niepotrzebnie starać się o pismo czytelne, gdyż ono zdradza zawsze pochodzenie plebejuszowskie i uprawniałoby oprócz tego do przypuszczenia, że panowie odebraliście wykształcenie publiczne. Pismo znamionuje geniusz. Wielu autorów wogóle zwraca w ten sposób na siebie uwagę. Przy pisaniu zamknijcie więc panowie oczy i piszcie tak nieczytelnie, jak tylko można.

„Na pisanie imion własnych nie potrzeba wcale zwracać uwagi, bo każdy zecer zna imię i nazwisko każdej kobiety i każdego dziecka na całym świecie; i kiedy tylko nam się zdaje, że odgadliśmy literę początkową nazwiska, to wystarczy zupełnie; prawda, że niedawno wydrukowaliśmy Samuel Marisgon zamiast Lemeus Messenger, ale przez to żaden inteligentny człowiek nie będzie zbałamucony. A więc powtarzam, na imiona własne nie potrzeba zważać.

„Bardzo korzystną jest rzeczą pisać na obydwóch stronach karty, a jeśli są zapisane i trzeba dodać jeszcze ze sto wierszy, zaleca się pisać na nich jeszcze w poprzek, bo szkodaby było wziąć nową kartę. Jesteśmy w siódmem niebie, kiedy mamy taki manuskrypt; najwięcej zaś cieszylibyśmy się, gdybyśmy mieli w rękach także autora. Jakżeby słodką była zemsta! Brunatny papier pakunkowy jest do pisania najlepszy; jeżeli zaś panowie go nie macie, możecie na ulicy sobie oderwać z plakatu kawałek potrzebnego papieru.

Gdy zaś takiego papieru używacie, najlepiej będzie, że będziecie pisali na stronie, którą plakat był naklejony. Kiedy artykuł już ukończony, trzeba go, nim się odeśle do redakcyi, nosić przez kilka dni w kieszeni. Jeśli był napisany ołówkiem, to wtedy znakomicie wygląda. Starajcie się też o to, żebyście jedną kartkę zgubili; szukanie i porządkowanie kartek luźnych i nienumerownych osobliwą nam sprawia radość.“

— Manuskryptów niezwracamy, nie przyjmujemy za nie żadnej i to żadnej gwarancyi, choćby były przysłane w liście zastrzeżonym (rekomendowanym). Kto więc do naszej Redakcyi przysyła manuskrypty, traci wszelkie prawo do zwrotu manuskryptów, a dalej w razie zagubienia manuskryptów traci też prawo do wszelkiego za nie odszkodowania, i to choćby interesent takowe sobie wyraźnie zastrzegł.

Redakcya i wydawnictwo „PRACY.“

Dział kobiecy.



Śpiew a małżeństwo.

Nie ulega wątpliwości — pisze jedna z głośniejszych nowelistek angielskich, że córki Ewy, chociaż niezupełnie piękne, gromadzą koło siebie o wiele większe koła wielbicieli, jeżeli śpiewają nawet po dyletancku tylko, niż skończone piękności, które jednak nie umieją naśladować słowików. Nawet mężczyźni którzy niewiele, albo zgoła nie rozumieją się na szlachetnej muzyce, mimowoli uczuwają sympatyę do młodej dziewczyny, która odważa się w licznem towarzystwie odśpiewać kilka pieśni. Panie i panny, które dobrze śpiewają, są z reguły fizycznie silne i wesołego usposobienia. Ucząc się śpiewać, muszą bowiem przedewszystkiem zdobyć sztukę głębokiego, prawidłowego oddychania, które znowu jest zasadniczym warunkiem nietylko śpiewu, ale i zdrowia. Zupełnemu zdrowiu towarzyszy zwykle dobry humor, tem bardziej u śpiewaczki, która zajęta swojemi ćwiczeniami, niema czasu myśleć o rozmaitych kłopotach i troskach. Nie trapi się niemi tak często, więc i nie naraża swojego organizmu na osłabienie z powodu nadmiaru troski. Zawsze woli zanucić sobie jakąś piosenkę, niż zatapiać się w smutnych rozmyślaniach. A już co do męża, to ten woli chyba, aby mu żona zaśpiewała wieczorem ulubioną aryjkę przy fortepianie, niż aby mu opowiadała szeroko o bezczelności służby, lub o podrożeniu mięsa. Nie można się więc dziwić, że śpiewające panny mają większe szczęście. Zapraszane wszędzie, stają się zawsze punktem skupiającym powszechną uwagę i dlatego spostrzegają je prędzej mężczyźni, szukający towarzyszek życia, niż inne. Możnaby jeszcze dłużej dowodzić o użyteczności praktycznej śpiewu dla kobiety, ale i to, co już powiedzieliśmy, wystarczy, aby panny zrozumiały, że jeden z ważnych środków zmiany swojego stanu pomijają zbyt często i lekceważąco.

Tak pisze nowelistka angielska. A nasze panie co o tem myślą?...

Emancypacya kobiet na Saharze.

Ktoby przypuścił, że główne zasady feminizmu są silnie rozwinięte na... Saharze! A jednak tak jest. Według studyów Demoulin'a, mężczyźni w tem społeczeństwie pustynnem pędzą życie koczownicze tak, jak żydzi wieczni tułacze. Kobiety więc ujęły właściwy ster rządów w swoje ręce i bez kongresów, hałasów, petycyi i uniwersytetów, zawładnęły wszystkiem. Korzystając ze swego życia umiejscowionego, potrafiły nadać sobie władzę, przewagę i powagę tak silną, o jakiej żadna z najśmielszych feministek marzyć nawet nie mo e. Mieszkanki Sahary uprawiają same rolę według tradycyi, ale zachowując swą wolność i swobodę działania, najzupełniej są wolne od kontroli mężowskiej i robią wszystko to, co im się podoba. Mają one to, co Anglicy nazywają „self governement" i rozporządzają same korzyściami i zyskami, które osiągają za pomocą swej pracy, której źródła czerpią w swej własnej inicyatywie i chęci. W oazach Sahary można rozróżnić dwa rodzaje własności: tak zwana własność prawna, pochodząca z pracy, lub własność rabunkowa pochodząca z gwałtów i rozboi. Pierwsza pochodzi z rąk i starań kobiet, druga z rąk i starań mężczyzn. Otóż w przyjętym i uświęconym zwyczaju, własność pochodząca z pracy, jest postawiona o wiele wyżej, jak własność rabunkowa. I tak, własność rabunkowa należy do ogółu, podczas gdy pochodząca z pracy jest własnością indywidualną. W ten sposób kobieta, będąca właścicielką, jest społecznie wyżej postawiona od mężczyzny, który jest kolektywistą.

Do tej pierwszej przyczyny pierwszeństwa kobiety nad mężczyzną dodać należy jeszcze jedną, która jest niemniejszej wagi w ustroju tyc oazowych społeczeństw. Oto — mężowie na Saharze nie wypełniają swej roli obrońcy i protektora płci słabej, która to rola jest głównym przywilejem mężczyzn w tak zwanym cywilizowanym świecie. Mieszkanka pustyni, zdawałoby się jednak, iż więcej niż inna kobieta odczuwać winna potrzebę jakiejś opieki i obrony i że nigdzie owe „biada samemu" nie powinno być więcej zastosowane, jak na tych olbrzymich obszarach, gdzie, zdaje się na mieszkańców ze wszystkich stron spadać mają niebezpieczeństwa. Tymczasem tak nie jest. Kobiety żyją nie same, bo łączą się w gminy i dają sobie jakoś radę, pomimo braku opieki swych mężów. Taki mąż na Saharze, to przechodzień, którego zaledwie zna rodzina. Nikt go się nie radzi, on nie wtrąca się do niczego — ani do gospodarstwa, ani do wychowania dzieci.

Jakże się to dzieje, że w tak zwanym barbarzyńskim świecie przyznano kobiecie wszystkie prawa, jakich ona dobić się nie może „pod jarzmem" cywilizowanych mężczyzn?



Policyant w spódnicy.

W powiecie Mac Pherson stanu Kansas, szeryf Seitz mianował córkę swą Hattie policyantem specyalnym, Pierwszy ten policyant rodzaju żeńskiego w Ameryce spisał się zaraz na wstępie dzielnie, dowiedziawszy się bowiem o usiłowanem morderstwie, wyśledził sprawków, trzech mężczyzn, popędził za nimi 30 mil. ang. konno, zaaresztował i przyprowadził do więzienia powiatowego.



Emancypacya kobiet w Japonii postępuje nader szybkim krokiem. Otwarty w Tokio uniwersytet dla kobiet cieszy się wielkiem poparciem moralnem i materyalnem. W Nagano utworzyło się Towarzystwo kobiet, którego członkinie zobowiązały się nie wychodzić za mąż za mężczyzn brudnych pod względem moralnym. W Tokio utworzyło się Towarzystwo dla zreformowania stroju niewiast japońskich, malowniczego, ale nie praktycznego bardzo.

Dział rolniczo-ekonomiczny.

Elektryczna lokomotywa.

Od kilku lat robione są już próby, aby siłę pary na kolejach żelaznych zastąpić siłą elektryczną. Do ujemnych stron lokomytywy parowych należy dym z kominów, który jest plagą dla zamieszkałych w pobliżu toru kolejowego, a szczególnie daje się we znaki w wielkich miastach, wśród których liczne pociągi na przestrzeni kilku kilometrów ustawicznie przemykają. Potrafiono wprawdzie po części temu złemu zapobiedz przez zastosowanie w parowych lokomotywach aparatów, które pochłaniają dym częściowo, jednak całkiem dodatniego rezultatu dotychczas nie osiągnięto. Tego rodzaju przyrządy są też obecnie w praktycznem użyciu na nowej kolei miejskiej w Wiedniu. Coraz nowe wynalazki dążące do zbudowania udoskonalonej lokomotywy elektrycznej dla ruchu na kolejach żelaznych wstrzymują dalsze udoskonalenie i rozpowszechnienie bezdymnych lokomotyw.

Dotychczas robione próby z elektryczną lokomotywą Heilmana, na linii kolejowej pod Lyonem we Francyi, są zupełnie zadawalniające. Lokomotywa elektryczna ma oryginalny zewnętrzny wygląd.

Przyłączony do niej wóz ciężarowy, naładowany jest akumulatorami. Lokomotywa toczy się na trzech parach kół, pierwsza para kół służy wyłącznie do dźwigania, dwie drugie pary kół są dźwignią połączone i wprawiają w ruch maszynę. Cała lokomotywa podobna do dużej skrzyni, która podzielona jest na pięć oddziałów, a wspólna podstawa tychże wznosi się 30 centimetrów nad osiami kół; pierwszy oddział jest 1 metr wysoki, aby nie zasłaniał maszyniście toru kolejowego i zawiera ścieśnione powietrze, które w miejsce pary służy do gwizdania, dla ostrzegania przed zbliżającym się pociągiem. W następnym oddziale znajdują się przyrządy mechaniczne do kierowania lokomotywą, a trzy ostatnie oddziały łączą ośmnaście elementów akumulatorowych. Akumulatory sporządzone są z celuloidu. Aby osiągnąć szybkość jazdy pociągów pośpiesznych, należy jeszcze włączyć 192 elementów w akumulatorach, które są pomieszczone w wozie ciężarowym, przyłączonym do lokomotywy. Ciężar lokomotywy i wozu ciężarowego z akumulatorami wynosi 90,300 kilogramów. Praktyczne próby dały następujący rezultat: największy ciężar, jaki nowa elektryczna lokomotywa systemu Heilmanna, przy szybkości 45 kilometrów w godz. przebywała, wynosił 147 ton (tona 1000 klg.). Przy włączeniu siły-elektrycznej akumulatorów w wozie ciężarowym osiągnięto z łatwością szybkość 100 kilometrów na godzinę.

Widzimy zatem, że szybkość ta wystarcza zupełnie, bo na stałym lądzie większa szybkość w jeździe pociągów nie jest w użyciu, a nawet niedozwolona, wskutek tego, że budowa torów kolei żelaznych na taką szybkość jazdy, nie była obliczona. Ujemną stroną elektrycznej lokomotywy jest wielki ciężar akumulatorów.

Naturalnie, że próbne te jazdy przy użyciu elektrycznej lokomotywy, zwracają ogólną uwagę, a sprawozdania o próbach, stanowią materyał studyów dla inżynierów, którzy rozwiązaniem kwestyi użycia siły elektrycznej dla ruchu komunikacyjnego się zajmują. Zdaje się, że w niedługim czasie parowa lokomotywa, wynalazek Stephensona, będzie musiała ustąpić miejsca swej elektrycznej rywalce.

Obecny wiek dwudziesty przedstawiać będzie niezawodnie w każdym razie całkiem odmienny obraz w ruchu komunikacyjnym. Ogólne, coraz większe żądanie, ile możności najszybszej podróży, musi być uwzględnione, bo każdy unika, tak zwanych „bummelzugów‟ i z czasem wszędzie pośredniczyć będą w jeździe pociągi pośpieszne lub błyskawiczne, których co rok jest więcej.

Im większe wymagania technikom się czyni, tem więcej oni niespodziewanie w pomysłach swych idą naprzód. Można więc z naprężoną ciekawością oczekiwać dalszego rozwoju ruchu komunikacyjnego, a niezawodnie przejdzie on niespodzianki, o których najbujniejsza fantazya, jeszcze dzisiaj nie może mieć wyobrażenia.

Z. W.

Praktyczny, a tani przyrząd
do filtrowania nieczystej wody.

Potrzebne jest do tego naczynie dowolnej wielkości — w spodzie zaopatrzone otworem. Na dół takiego naczynia nakłada się warstwę naskubanej, surowej bawełny albo po prostu waty, na ten pokład warstwę węgli drzewnych w kawaleczkach rozdrobnionych do wielkości grochu, następnie znowu warstwę bawełny, a na sam wierzch pokład grubo ziarnistego piasku. Każdy taki pokład powinien być przynajmniej 2 cale gruby, natomiast warstwa bawełny, przedzielająca węgle od piasku, powinna być zupełnie cienka. Wszystkie użyte w tym celu materyały należy najprzód czysto wypłukać, aby nie było żadnych obcych części.

Tak przyrządzony filtr ustawia się lub zawiesza nad innem czystem naczyniem, gdzie spływać ma przez filtr przepuszczona woda. W miarę częstszego użycia i stosownie do tego, czy oczyszczamy mniej lub więcej zanieczyszczoną wodę, oczyszcza się lub odnawia materyały filtrujące.

Gdzie potrzeba oczyszczać większą ilość wody, nietylko stawowej, rzecznej, ale i studziennej, a nawet wodociągowej, w takim razie zamiast naczyń gliniastych, można użyć dobrze wymytej beczki z dnem podziurkowanem. Zdaje się, że w czasach grożących chorób zaraźliwych, zaopatrzenie się w podobne filtry jest prawie koniecznem, gdyż nieczysta woda staje się często głównym sprawcą rozprzestrzeniającej się zarazy.

Próby bron.

W czasie od miesiąca maja 1901 r. do maja 1902 r. odbyły się z poręki Syndykatu Rolniczego w Winnicy gub. Podolskiej, na różnych polach próby bron, w których wzięły udział fabryki amerykańskie i niemieckie, a także nasza fabryka H. Cegielski, Tow. Akc., ze swą lekką broną, znaku F. E. 1. Wydane teraz przez komisyą, w skład której wchodzili pp. Romuald Nowiński, Kazimierz Jurkowski, Sylwan Łychowski i F. Lubański, sprawozdanie, stawia na pierwszem miejscu bronę Cegielskiego, uznając ją bezwzględnie za najlepszą.

Notatki techniczne.

Brak platyny. Platyna staje się coraz rzadszą. W r. 1888 kilogram tego metalu, używanego w przemyśle i w doświadczeniach naukowych, kosztował 500 franków, w roku zaś 1901 odnośna cena urosła do 2.590 franków. Produkcya roczna platyny wynosiła w r. 1825 około 164 kilogr., w r. 1882 dosięgła 4,000 kilogr. Dzisiaj dostarcza się tego metalu 6.000 kilogr. rocznie, tymczasem konsumcya roczna pochłania 7.500 kilogr. Wobec tego przemysłowcy zmuszeni są przetapiać przedmioty platynowe zniszczone, gdy chcą zastąpić je nowymi.

Dodatek Humorystyczny.

Gdyby nie ten kot.

Lube, piękne dziewcze moje,
Cudne, śliczne ma oczęta,
Ciemnych włosów ładne zwoje,
Ale o mnie... czy pamięta?
Może... nie wiem... któż odgadnie,
Co dzieweczka myśli złota,
Kiedy ciągle na kolanach
Ogromnego trzyma... kota!

*

Pieśni śpiewałbym bez końca
I na skrzydłach mojej duszy
Biegłbym w górę... hen... do słońca,
Gdzie się smutek, troska kruszy.
Radbym dla niej stworzyć raje,
Jej darować świat ten cały,
Duszę, życie dałbym chętnie
Gdyby nie ten... ten... kot biały.

*

Nieraz chciałbym mą zazulę
Ucałować w rączkę białą,
I popieścić się z nią czule,
I całusów wziąć nie mało —
Nieraz — upaść na kolana
Szczera bierze mnie ochota, —
Lecz nie mogę — bo naprawdę
Ja się bardzo boję.... kota!



Podsłuchane.

— Czemuż ty się nie żenisz? Przecie to przykro w późniejszym wieku być samotnym, nie mieć nikogo?

— Gdy się tak żyło, jak ja żyłem, to się nie jest nigdy samotnym!

— A ty lamparcie! Więc masz kogoś przecie?

— O mam!

— A kogoż?

— Wierzycieli!



Smakosz.

— No kumie, prosimy do nas do kompanii, jest tam moja żona, córki, cielęcina, wino, wódka, szynka, piwo, co wolicie.

— To jeżeli łaska, będę prosił żony pańskiej o kawałek szynki, widzę, że tłusta, a ja taką lubię.



Prawdziwy sportsmen.

— „Lucylla" nazywa się klacz pana barona? Zapewne na cześć córeczki?

— Nie, przeciwnie: córkę nazwałem od imienia konia.



Słuszny powód.

Robotnik, pozbawiony zajęcia, prosi o drobną zapomogę:

— Zmiłujcie się, przecież byliście u mnie przed godziną jako podupadły szewc i dostaliście 20 fenygów!

— A cóż to pan myśli, że w takich ciężkich czasach człowiek może się utrzymać z jednej profesyi?



U lekarza.

— Panie doktorze, jeśli mi pan zabroni pić, to się na nic nie zda... Mam strasznie krótką pamięć.



Z dziecinnego pokoju.

— Hanio, a dlaczego ty się nie bawisz z Zosią i Kaziem w „państwo", tylko siedzisz schowana w kącie?

Czteroletnia Hania:

— Bo ja, proszę mamy, mam się dopiero urodzić; więc czekam.



Niespodziewany skutek.

— I cóż, jak się masz po wczorajszej knajpie?

— Doskonale!... Ale moja żona zupełnie ochrypła.



Z piosenek.

Ty masz skarby moje dziecię,
Jak rubiny usta twoje,
Rączki — jak nikt nie ma w świecie...
Ocząt twoich... ja się boję!...

Jak toczona twoja nózia,
Niby złoto twoje włosy,
Jak jagoda twoja buzia,
W oczkach! och! tam są me losy!

Tak!... Prócz ocząt twych brylantów —
Wszystkie skarby mam w pogardzie!...
Cóż mi z tego?... Takich fantów
Nie przyjmują dziś w lombardzie!



Myśli.

Wierna żona to brylant trzystokaratowy;
Wierna kochanka istny kwiat aloesowy...
Wierny mąż, to kruk biały szukać go po świecie,
Lecz wiernej wdowy — chyba nigdzie nie znajdziecie.

Wynalazki, koleje, parowce, balony,
Kompasy, zegary, proch i telefony;
Znalazł się nawet sposób co gromy zwycięża —
Lecz nikt nie znajdzie panny — która nie chce męża.



Co kocham?..

Kocham duże modre oczy
Z czarnemi rzęsami,
Co się śmieją jednocześnie
I zachodzą łzami.

Kocham usta maluteńkie,
Usta koralowe,
Co są prawie każdej chwili,
Do śmiechu gotowe.

Lecz najwięcej kocham papy
Kasę ogniotrwałą,
I to tylko wzbudza we mnie
Miłość, wieczną — stałą!



Hydropatya.

Lekarze od niedawna dopiero stosować zaczęli hydropatyę, gdy tymczasem w życiu ona już dawno ma zastosowanie.

Miłość pięknej kobiety najłatwiej pozyskać... brylantami „czystej wody". Ognisko domowe szybko stygnie za pierwszem dotknięciem „zimnego prysznicu." Przestępców oddawna w celu poprawy sadzano na „chleb i wodę". Podwładnym przełożeni często „zmywają" głowę. Wielu spotykamy amatorów „mętnej wody", w której łowią ryby, jak również wielu autorów, których utwory podobne są do siebie jak „dwie krople wody", choć sami autorzy — mają się do siebie jak dziesiąta „woda po kisielu". Nie zbadano tylko dotąd, ilu polepszyło swój byt wskutek obietnic „spisanych widłami na bieżącej wodzie"...



Telegramy giełdowe.

Berlin. Na giełdzie berlińskiej utrwala się przekonanie o konieczności — własnego obszernego więzienia.



Poznań.

Spadły akcye i „zastawne",
I w świat poszła gotowizna...
Kredyt — słabo, długi — mocno.
Pieniądz — klapa, „fest" golizna.



Dział powieściowy.



SPIEWACZKA LUDOWA.

Powieść illustr., oparta na faktach historycznych z r. 1815.

8)

(Ciąg dalszy.)

— Cicho, ja ci nic złego nie zrobię, przeciwnie, ocalę cię, przysięgam ci to! Domyślam się, o co chodzi, poznałam po głosie tego nędznika — ah, to do niego podobne! Ale dziś odpowie Bondi za wszystkie swoje niegodziwości, dziś krwią zapłaci za złe, jakie innym wyrządził! Kto ty jesteś?

— Teresa Krones, śpiewaczka z Wiednia!!

— Ach, to ty! Pójdź do okna — niech ja wiem, jak wyglądasz! Ty jesteś Teresą Krones!

Głos wybawicielki drżał silnie. Fedora ujęła ręce Teresy i pociągnęła ją do okna, gdzie już trochę jaśniej było, i patrzała na nią uważnie. Teresa nie przeczuwała, że ta piękna, silna dziewczyna, kocha także Henryka i to równie gorąco, jak ona sama!

— Więc tak wygląda Teresa Krones, — szepnęła Fedora. — Teraz wierzę, że on ją nad życie kocha!

— Otwieraj! — krzyczał znów Bondi, i zaczął drzwiami szamotać tak, że zawiasy trzeszczały. — Widzisz, że wyłamanie drzwi jest dla mnie drobnostką! Pożałujesz twego uporu!

Fedora tymczasem ujęła Teresę w objęcia i uścisnęła ją czule.

— Wybacz mi, — szepnęła, — wybacz mi.....

— Co takiego? — zapytała Teresa zdumiona, — przecież ja pani tyle wdzięczności jestem winną!

— Nie, nie, ach, ty nie wiesz, jak ja cię skrzywdziłam! Ale ty jesteś dobrą i szlachetną, ty mi wybaczysz! Chcesz być moją przyjaciółką, chociaż mnie nie znasz?

— O tak, z całego serca!

Bondi zwolna zaczął wyłamywać drzwi.

Fedora pociągła Teresę do otwartego okna.

— Uciekaj tędy, — rzekła. — Przejdź cały park — dojdziesz do małej uliczki i pytaj ludzi o dalszą drogę. Wróć do zamku Wielkiego księcia i zostań w Warszawie jeszcze dwa dni!

— Zostanę, nie opuszczę prędzej Warszawy, dopóki nie zobaczę Henryka! Albo umrę razem z nim, albo go ocalę!

— Zkąd wiesz o tem?

— To już moja rzecz, ale teraz nie mamy czasu do stracenia, każda sekunda jest droga! Bądź zdrowa Tereso. W ostatniej chwili powiem ci moje nazwisko: jestem Fedorą córką Wielkiego Księcia rosyjskiego, Konstantego!

Zanim Teresa zdołała odpowiedzieć, uniosła ją Fedora do góry tak, że wygodnie mogła wyskoczyć z okna na miękki śnieg.

— Żegnam cię, — zawołała, — niech ci Bóg zapłaci za ten czyn szlachetny. Ocaliłaś mi życie i honor, i nigdy, przysięgam, nigdy ci tego nie zapomnę.

Zaraz też znikła wśród drzew ogrodu, a Fedora stanęła w najciemniejszym kącie pokoju.

Jeszcze jedno silne uderzenie — i drzwi wyłamane leżały na ziemi.

Bondi wszedł do salonu.

— No i cóż, namyśliłaś się, Tereso? — zapytał, idąc wprost ku niej. — Napiszesz list?

— Tak!

— No widzisz wszystko musi być tak, jak ja chcę! Napiszesz list, będziesz moją żoną — a na zadatek pozwolisz że cię pocałuję! Wszakże to prawo narzeczonego! Pójdź w moje objęcia, najdroższa!

I wyciągnął ramiona.

Ale teraz stało się coś nadzwyczajnego.

Z okrzykiem głuchej wściekłości rzuciła się na niego mniemana Teresa i schwyciła obiema rękami tak silnie jego gardło, że nędznik ruszyć się nie mógł.

Chciał ją odepchnąć od siebie, szukał nawet sztyletu w kieszeni, ale Fedora była tak mocną i zręczną, że wszelkie usiłowania jego były daremne. Białe jej ręce zdawały się być z żelaza — oczy zaczęły wychodzić na wierzch niegodziwemu zdrajcy i ciężkie chrapanie dobywało się z jego piersi.

— Mam cię nareszcie, nędzny szpiegu — mówiła Fedora popychając barona tak, że upadł na wznak na ziemię, — ach, jak pragnęłam tej chwili. Nie długo potrzebowałam czekać na moją zemstę! Widzisz, przepowiedziałam ci, że się pomszczę — ach, ty nikczemniku, ty podły zdrajco!

I uklękła mu na piersiach, a wyjąwszy swoją dużą, więzienną chustkę, związała mu ręce tak, że nawet palcem ruszyć nie mógł.

Twarz jego była sina.

Potem zerwała grube sznury od ciężkich zasłon przy oknach i związała mu ręce.

— No, i kto teraz mocniejszy? — roześmiała się szyderczo. — Kiedy pójdziesz znowu na dwór mego ojca i będziesz zachwycać wszystkich świetnym strojem i dowcipem?

Bondi odzyskał teraz przytomność. Wił się na ziemi, jak żmija, okropnem naprężeniem muszkułów starał się więzy rozerwać, tarzał się, krzyczał, jęczał, ale nic mu to nie pomagało. Fedora patrzała na niego i śmiała się głośno, cała dzikość jej natury zbudziła się z dawniejszą gwałtownością.

— Dobrze ci, nieprawda? Tak samo leżał wówczas Henryk związany u twoich stóp, a ty śmiałeś się, jak sam szatan — czekaj, zapłacę ci teraz za ten śmiech twój haniebny!

I kopła go nogą w twarz tak, że krew trysnęła z ust i nosa.

Bondi ryczał z bólu, gniewu i strachu.

— Krzycz, krzycz, ale nie za wiele. Ach, ja ciebie nienawidzę, jak ja tobą gardzę! Czemu ty mnie szpiegowałeś i zdradziłeś, łotrze? Co ja ci zawiniłam? Z twego powodu miałam iść na Sybir, widzisz jednak, że Bóg mnie ocalił! Jeszcze krzyczysz? Ah, tego mi za nadto! Musisz umilknąć!

I odrywając kawał firanki, zaczęła skręcać ją na knebel do zatknięcia ust.

— Litości! — jęczał Bondi, — udusisz mnie, litości! Co chcesz ze mną zrobić?

— Co, ty jeszcze pytasz o to?

— Zabijesz mnie?

— Tak, ale zwolna! Śmierć prędka byłaby dobrodziejstwem dla ciebie — będziesz umierał powoli, okropnie! Wymyśliłam już dla ciebie mękę, o jakiej ludzie jeszcze nie słyszeli!

Bondi krzyczał przerażająco. Fedora pochyliła się i włożyła mu knebel w usta.

— Milcz teraz! — zawołała. — Chcesz wiedzieć, jak umrzesz? Powiem ci! O dziesięć minut ztąd, zaraz za parkiem, leży nad brzegiem Wisły, mały, stary, na wpół zapadły młyn. Kamienie w nim jednak są jeszcze całe i dobre, melą doskonale i zmiażdżą wszystko na pył, co się pomiędzy nie kładzie! Młynarz, który tam mieszkał, był Polakiem, ale uwięziono go pod pozorem spiskowania przeciwko rosyjskiemu rządowi. Siedzi on w cytadeli. Ja także siedziałam w cytadeli, moja cela było obok celi młynarza.

Przez ścianę porozumieliśmy się z sobą, dlatego wiem, gdzie młyna jego szukać! Zawlokę cię tamdotąd, w parku żywej duszy nie ma! I włożę cię pomiędzy młyńskie kamienie — wiem, jak je puścić w bieg! Nie chcę, aby z takiego, jak ty łotra, ślad jakiś został, będziesz starty na pył! To jest śmierć godna barona Bondi!

Twarz zdrajcy strasznie była wykrzywioną. Oczy wychodziły mu formalnie z jam, a członki wyprężały się w śmiertelnym strachu. Był to widok okropny i Fedora odwróciła się z wstrętem.

Bondi natężał muszkuły, aż stawy trzeszczały, ale więzów zerwać nie mógł.

— Czy myślisz, że mi się jeszcze z rąk wysuniesz? — zawołała Fedora. — Nie, mój kochany, nie łudź się daremną nadzieją! Pójdź teraz! Spodziewam się, że masz w kieszeni klucz tego domu!

I wyjęła go rzeczywiście.

— Aż do ogrodu wywlokę cię tak ostrożnie, aby cię głowa nie bolała, — rzekła, i ujęła go pod ramiona, ciągnęła przez wszystkie pokoje ze schodów. Nie była to lekka robota, ale Fedora ogromne posiadała siły, i wcale się zmęczoną nie czuła. Potem położyła go na miękkim śniegu i ciągnęła dalej za nogi, przez cały ogród.

— Wygodnie ci, nieprawdaż? — pytała, odpoczywając na chwilę.

Potem spostrzegła, że Bondi był nieprzytomny.

— Nic mu nie będzie, — pomyślała, i szła dalej, do młyna, wlokąc za sobą zemdlonego. — Otrzeźwię go potem! Jak słodką jest zemsta! Za Henryka i za mnie! Ach, jaka ta śpiewaczka jest piękna! Właściwie powinnam ją nienawidzieć, a jednak nazwałam ją moją przyjaciółką. Musiałam ją ocalić z rąk tego łotra i pomimo, że jest moją rywalką, nie żałuję tego, co zrobiłam. Uratowałam jej życie i honor, więcej nie mogę — nie, to byłoby nad moje siły! Henryka jej nie oddam, za nic w świecie! Kto go zresztą ocali od śmierci, jeżeli nie ja? Niech on należy do tej, która go wydrze z rąk kata! Ach, jakże byłabym szczęśliwą, gdyby mnie się to powiodło! Ale otóż i młyn!

Przedewszystkiem zdjęła Fedora teraz swój szary płaszcz, zwinęła go mocno, związała i wrzuciła do rzeki, a potem, na wpół niosąc, na wpół wlokąc, weszła z swoją ofiarą do młyna.

Właściciel jego był Polakiem, ale o politykę nigdy się nie troszczył. Jemu wszystko było obojętne, byleby on sam zbierał pieniądze, to mu zupełnie wystarczało.

Razu pewnego przyszli do niego rosyjscy żołnierze i zażądali mąki.

— Mąki możecie dostać tyle ile chcecie, — odrzekł młynarz, — tam jest sześćdziesiąt pełnych miechów, ale musicie mi zapłacić! Inaczej nie dam nic!

— Zapłacić, — krzyknął jeden z żołnierzy, — powinieneś się cieszyć, ty przeklęty psie polski, że z twej mąki chcemy sobie chleb upiec! My tu jesteśmy panami i bierzemy co nam się podoba rozumiesz?

— Bierzcie co wam się podoba? — rzekł młynarz, biorąc potężny kij żelazem okuty. — Zobaczymy kto tu panem! Bierzcie mąkę!

W następnej chwili leżał najbliższy żołnierz z rozpłataną głową na ziemi.

— Zbójcy! Złodzieje, — krzyczał młynarz, rzucając się na pięciu pozostałych żołnierzy, — wynoście mi się natychmiast, bo was wszystkich rozsiekam!

Kij był długi i gruby, żelazo mocne, każde uderzenie śmiertelne.

Jeszcze jeden żołnierz padł trupem, reszta uciekła, ale sześć godzin później było we młynie sto kozaków, młynarz leżał związany i cały dobytek jego zmarnowany.

Zawieziono go nawet do cytadeli i dziwna rzecz, że młyna nie spalono. Może kozacy zapomnieli o tem wobec skrzyni pełnej pieniędzy, może nie warto było tych kilku desek i belek zapalać, dosyć, że młyn pozostał nietkniętym.

Młynarzowi wytoczono proces, którego wyniku nie można było przewidzieć. Fedorze wyznaczono celę obok jego celi i tym sposobem poznała jego całą historyę. Wiedziała, że młyn jest niezamieszkany i tam postanowiła dokonać swej krwawej, okropnej zemsty.

ROZDZIAŁ XIII.

Pomiędzy kamieniami młyńskiemi.

Głęboka cisza panowała w opustoszałym młynie, nic się tam nie ruszało. Na wpół wyłamanemi drzwiami na dole poruszał raz po raz lekki ranny wietrzyk, był to jedyny szelest, jaki się tu słyszeć dawał.

— Słuchaj, — mówiła Fedora, gdy Bondi odzyskał przytomność, — taka ci muzyka przygrywać będzie przy śmierci.

Potem obejrzała starannie kamienie, poruszyła drewnianym klinem, i wszystko znalazła w porządku. Jeden kamień spadł na drugi, cicho, lekko, i tak samo podnosił się znowu, można go też było zatrzymać w takiej odległości, w jakiej się chciało.

— Bardzo dobrze, — zawołała, — wszystko tak, jak sobie życzę! Śmierć twoja będzie straszliwą!

Teraz musiała go położyć na dolny kamień i to najcięższą było robotą. Pomimo związanych rąk i nóg rzucał się Bondi jak szalony, w końcu udało jej się podnieść go do góry i położyć na przeznaczonem miejscu. Gdy to ukończyła wyjęła mu knebel z ust.

— Krzycz, ile chcesz, — rzekła, — będzie to najpiękniejszą dla mnie muzyką!

— Łaski, — jęczał Bondi, — łaski! Czy ty masz serce, jeżeli możesz się tak napawać męczarnią.

— A czyś ty miał serce, nędzniku, gdy na kolanach prosiłam o łaskę? Miałeś litość dla mnie lub dla Henryka Orszańskiego i Teresy? Spojrzyj do góry na ten kamień olbrzymi, jedno poruszenie, a on spadnie na ciebie i zwolna zetrze cię na proch! Twoja ostatnia godzina wybiła, myśl o Henryku, o Teresie i o mnie! Umieraj!

I już dotykała ręką drewnianego klina, gdy nagle dało się słyszeć głośne wołanie o pomoc.

Fedora zadrżała i zawahała się.

Czy to był wiatr, który poruszał drzwiami — ale nie, to był głos człowieka. Ktoś walczył z falami rzeki, topił się bezwątpienia, bo po raz drugi usłyszała wyraźnie:

— Na pomoc! Na pomoc!

Fedora zapomniała w tej chwili o swej zemście. Ta sama kobieta, która z takim namysłem przygotowywała śmierć okropną dla swego wroga, ta sama nie myślała teraz o niczem innem jak o ratowaniu tych, którzy pomocy wzywali. I nie patrząc już na barona, leżącego pomiędzy dwoma kamieniami, wybiegła, jak strzała z młyna, zwracając się natychmiast w stronę Wisły.

Na dworze jasno już było, nad rzeką unosiły się jeszcze gęste mgły, ale można było dokładnie przejrzeć Wisłę na całą jej szerokość.

Lecz cóż to! Czy złudzenie, czy rzeczywistość! Fedora ujrzała nagle kilkunastu mężczyzn walczących z bystrym prądem wody, który ich unosił na głębinę, grożąc śmiercią. Co się więc stało, czy statek jaki się rozbił — zkąd bowiem znalazłoby się tyle ludzi naraz w takiem niebezpieczeństwie!

Ale Wisła, to nie morze — nie ma skał podwodnych, o które uderzałyby okręty i łodzie — tu musiało zajść coś nadzwyczajnego, o czem Fedora sobie na razie sprawy zdać nie mogła.

I nie namyślała się też nad tem. Nie pytała, kto to jest, tylko powiedziała sobie:

— Muszę ich ratować!

Bystremi swemi oczami ujrzała niedaleko zawieszoną na kołku łódkę. Pobiegła więc czemprędzej, i któż opisze jej radość gdy w łódce wiosło znalazła. Jednym skokiem stanęła w łodzi i odbiła od brzegu. Fale uniosły ją zaraz na sam środek rzeki, biała piana pryskała jej na twarz, ale Fedora na nic nie zważała.

— Ratować nieszczęśliwych — to było jedyną jej myślą.

Niektórzy starali się przypłynąć do niej, lecz siły opuszczały ich, i będąc blizkimi ocalenia, ginęli w głębinach. Kilku zdołało dosięgnąć przeciwny brzeg — wychodzili więc na ląd i padali, wycieńczeni, trzech zaś zbliżało się do niej i tym teraz głównie spieszyła na pomoc.

Jeden z nich stary już, o śmiałej twarzy, otoczonej długą siwą brodą, podtrzymywał młodszego, pięknego, ale bardzo bladego mężczyznę.

—Abbe La Fontaine — zawołała nagle Fedora zdu-

miona — to pan! Ah, jeszcze kilka chwil trzymajcie się nad wodą, już idę do was....

I popchnęła łódkę naprzód z całej siły.

Siwowłosy mężczyzna uchwycił się teraz czołna i odetchnął swobodniej.

— Niech ci Bóg zapłaci za pomoc, moje dziecko — rzekł drżącym z wzruszenia głosem. — Podaj teraz rękę memu towarzyszowi jeżeli masz jeszcze tyle siły! Patrz, on stracił przytomność!

— O ja jestem bardzo silna — zawołała Fedora uradowana słowami starca, i ująwszy obie ręce zemdlonego, wciągnęła go do łódki.

— Teraz pan — rzekła.

— Nie — odpowiedział Bilewski, on to bowiem był owym starym mężczyzną — tam płynie Walenty, służący panny Krones, trzeba go także ratować! Śpiesz się Walenty — cóż to, nie możesz dalej? Czekaj, ja ci pomogę!

Fedora była wzruszoną do głębi serca. Na pierwszy rzut oka poznała, że starzec był wytwornym arystokratą, i pomimo to, spieszył na ratunek prostego służącego.

W takim razie nie mogli być Polacy tak złymi i niegodziwymi ludźmi jak ich zawsze przedstawiano. Jeżeli arystokrata z narażeniem własnego życia spieszy na ratunek jakiegoś tam sługi, to musi być szlachetnym i bohaterskim człowiekiem! Fedora myślała, że tylko Henryk był wyjątkiem — teraz jednak widziała, że w narodzie polskim znajduje się więcej zacnych i nieustraszonych mężów.

A jak ona sama się zmieniła!

Przed kilku tygodniami byłaby patrzała z roskoszą na śmierć każdego Polaka — dziś ratowała ich z prawdziwą pogardą śmierci. I nagle uczuła gorzkie wyrzuty sumienia za wszystko to co dawniej Polakom złego wyrządzała. Rumieniec wstydu wystąpił jej na twarz, gdy pomyślała o swoich „łowach“ — ach, — czemu jej nikt wówczas nie powiedział, że Polacy są uczciwymi ludźmi! Teraz, gdy sama doznała okrucieństwa swego ojca przekonała się, że nie zawsze ma silniejszy słuszność, i że pod rządami jej ojca niewinni najwięcej cierpieć muszą. A szpiegi i zdrajcy są wszechwładni!

Na myśl o takich bezprawiach, o tak krzyczącej niesprawiedliwości, ogarnęło ją prawdziwe obrzydzenie dla tyranów i ciemięzców nieszczęśliwej Polski.

Hrabia Bilewski tymczasem podał rękę Walentemu i przypłynął z nim do łodzi. Potem wskoczył sam, pogładził brodę i ująwszy wiosło z rąk Fedory, wrócił szczęśliwie do brzegu, do młyna.

— Zdaje mi się, — rzekł, patrząc uważnie na Fedorę, — że ja panią znam. Nie mogę jednak sobie przypomnieć, gdzie i kiedy cię widziałem! Ja jestem hrabia Bilewski!

Fedora śmiało wejrzała mu w oczy, chociaż głos jej drżał trochę, gdy mu odpowiedziała:

— Ja także pana znam! Widzieliśmy się kilka razy na balach dworskich u mego ojca — ja jestem Fedora, córka Wielkiego Księcia Konstantego!

— Nie może być! A jednak — tak, poznaję cię, księżniczko! Ale słyszałem dużo o tobie... hm, hm... więc pewnie ocaliłaś nas na to, aby później kazać zamordować....

— Gdybym pragnęła waszej zguby, — rzekła Fedora z smutnym uśmiechem, — to nie byłabym narażała własnego życia, aby uratować wasze. Bylibyście się tutaj utopili, gdybym nie była pospieszyła z pomocą.

— Poznałaś mnie księżniczko i mimo to zabrałaś mnie do swej łodzi?

— Tak! Czy to pana dziwi? Przecież wypełniłam tylko mój obowiązek!

— Ale skąd tu się wzięłaś, księżniczko? W tej samotnej okolicy, o tej porze...

— O tem później może opowiem!

Bilewski ujął rękę Fedory i do ust ją przycisnął.

— Bądź co bądź, dziękuję w imieniu moich towarzyszy i mojem za pomoc w niebezpieczeństwie. Jesteś niezwykłą kobietą, księżniczko, bowiem, że nienawidzisz Polaków, a jednak uratowałaś nas od śmierci.

Książę Adam patrzał z zachwytem na piękną, zarumienioną twarz Fedory.

— Dziękuję pani, — szepnął cicho.

— Nie dowierzałam moim oczom, gdy pana ujrzałam, — odrzekła Fedora. — Skądże abbe La Fontain zna tak blisko hrabiego Bilewskiego?

— Ja nie jestem abbe la Fontaine, — zawołał książę Adam żywo, — nie chcę dłużej nosić nazwiska, które przyjąłem jedynie z konieczności. Nie jestem francuzkim księdzem — jako taki bywałem na dworze ojca twego — dlaczego — to ci zaraz wytłumaczy moje prawdziwe nazwisko: jestem książę Adam Starzycki, przewodniczący wszystkich tajnych związków!

Fedora zdumiona patrzała na niego. Nazwisko to obijało się tak często o jej uszy, a było wymieniane z taką nienawiścią i zawziętością, że mimowoli i ona nienawidziła tego księcia Starzyckiego, który pobudzał Polaków do buntu i godził podobno na życie jej ojca. Wyobrażała go sobie jako starca, na wpół dzkiego fanatyka, tymczasem był to ów piękny, wytworny abbe la Fontaine, którego w domu jej ojca wszyscy lubili i o którego towarzystwo cały dwór się ubiegał.

I to był książę Adam Starzycki!

— W takim razie cieszę się podwójnie, — rzekła serdecznie — że przyczyniłam się do ocalenia dwóch szlachetnych polskich patryotów, którzy z takiem poświęceniem służą ojczyźnie.

— Ależ księżniczko, taka zacięta Rosyanka, — zaczął Bilewski.

— Byłam nią, — przerwała, — dziś jednak zmieniłam moje przekonania! Uważajcie mnie za swoją — ja z wami pójdę wszędzie, i z największą gorliwością będę służyć waszej sprawie! Nie jestem już księżniczką rosyjską, tylko po prostu Fedorą, która sobie za zaszczyt uważać będzie, jeżeli ją zechcecie przyjąć do swego grona obrońców Polski!

— Jaka nagła zmiana, — zawołał książę Adam zdumiony. — Trudno nawet w to uwierzyć, ale ja wiem, że Fedora zbyt dumną jest, aby miała kłamać! Witam cię więc Fedoro, jako moją siostrę!

I z zapałem ucałował jej białą rękę.

Jak on kochał tę dziewczynę! Z rozkoszą byłby oddał ostatnią kroplę krwi dla niej!

Zbliżyli się teraz do młyna i Fedora wskazała otwarte drzwi.

— Prędko, — zawołała, — musicie przedewszystkiem wysuszyć wasze ubrania. Tutaj możecie odpocząć i nowych sił nabrać, może znajdziemy trochę drzewa i mąki, mielibyśmy chociaż śniadanie!



— Co to jest? — zawołał Bilewski. — Żywy człowiek leży pomiędzy kamieniami — związany — twarz śmiertelnym wykrzywiona strachem — Fedoro, kto to jest?

Bilewski i książę Adam znali bardzo dobrze młyn, wszyscy weszli więc razem do wnętrza. Ale zaledwie Bilewski, idący naprzód, przestąpił próg, gdy przerażony stanął i wskazując kamień, drżącym zawołał głosem:

— *Co to jest? Żywy człowiek leży pomiędzy kamieniami — związany — twarz śmiertelnym wykrzywiona strachem — Fedoro, kto to jest?*

(Ciąg dalszy nastąpi).